

Kamena

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

LUBLIN 5.I.1969 Nr 1 (408) R. XXXV

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

Z PARTIĄ

W TYM miesiącu rozpocznie obrady Wojewódzka Konferencja Sprawozdawczo - Wyborcza PZPR w Lublinie. Będzie ona podsumowaniem działalności Komitetu Wojewódzkiego w okresie jego dwuletniej kadencji i wytyczeniem kierunków przyszłego rozwoju województwa w oparciu o uchwały V Zjazdu.

Odbędzie się w czasie nie tylko znacznego ożywienia politycznego wywołanego wypadkami na arenie międzynarodowej, ale przede wszystkim szczególnie manifestowanego zaufaniem do partii ze strony wszystkich grup społecznych. Lubelskie społeczeństwo zaufanie to wyraziło za pośrednictwem wieców protestujących przeciwko organizatorom ekscesów marcowych, za pośrednictwem żywej i gospodarskiej dyskusji nad Tezami Zjazdu, za pośrednictwem czynu produkcyjnego podjętego przez dzieciaki i setki zakładów pracy.

„Jesteśmy z Wiesławem” — to hasło tak często widoczne na transparentach zawarto w wymownym skrócie zasadniczą myśl polityczną odnośnie koncepcji formowania przyszłych losów naszego kraju. Koncepcja ta wynika przede wszystkim z realistycznego widzenia naszych potrzeb i trafnej oceny środków, jakimi mamy się posłużyć dla tym skuteczniejszej realizacji założeń ustroju socjalistycznego. Przyjmując ten dorobek V Zjazdu Konferencja Wojewódzka podejmie decyzje umożliwiające treści uchwalać przesłania w konkretnych rzeczowych i wymiernych dokonaniach.

Zadania stojące przed lubelskim województwem nie należą do łatwych. Nieustannie musimy zdobywać nowe pozycje w rozwoju gospodarczym mając przy tym nie zlikwidowane jeszcze do końca relikty dawnego zacofania. Ale znacznie pomocną okolicznością jest w tym kapitał zaufania, jaki zyskała Partia w masach pracujących województwa, czego wyrazem jest również fakt, że partyjna organizacja Lubelszczyzny liczy obecnie ponad 100 tysięcy członków. Taką organizację reprezentowała lubelska delegacja na V Zjeździe. Również pod względem szkodliwych przedstawa się pokazuje. Szczególnie ważny a cenny dla nas jest zgłoszony przez sekretarza KW tow. Władysława Kudrę postulat kompleksowego opracowania perspektywnego planu gospodarczego dla wszystkich, podobnych do siebie charakterem wschodnich województwa kraju.

„Zmieniamy oblicze wsi lubelskiej”. Zmieniamy w ten sposób, że z jej pejzażu znikają resztki strzech, że coraz szerszym strumieniem idzie na wieś elektryfikacja i mechanizacja, że idą wszelkie elementy technicznego postępu. Zmieniamy również w ten sposób, że mapa województwa pokrywa się nieustannie rosnącą siecią zakładów przemysłowych, których istnienie wpływa na przyspieszenie ogólnocivilizacyjnych procesów na wsi i w małych miasteczkach. To jest kierunek nie tylko ... przemysł, ale i na uprzemysłowienie, to znaczy na zmianę gospodarczego charakteru województwa.

Pomocą w tych działaniach jest wzrastająca socjalistyczna świadomość społeczna i ta pozycja w dwuletnim bilansie wojewódzkiej organizacji partyjnej gra szczególną rolę. To przede wszystkim za pośrednictwem Partii, dzięki jej umiejętności nawiązania dialogu z masami bezpartyjnymi nastąpiło trafne rozróżnienie między metodami widzenia przyszłych losów Polski. Jej udział ujawnił się w wyborze działań korzystnych dla kraju i socjalizmu. Dlatego lubelska wojewódzka organizacja Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej idzie na swą konferencję z poczuciem zadań owocnie wykonanych. Tym energicznie, z tym mocniejszym poczuciem odpowiedzialności podejmie zadania nowe.

Tajemnica kawiarni „U aktorów”²⁾

W LIPCU 1944 r. Lublin został wyzwolony. W mieście tworzono polskie urzędy i instytucje. Powołano do życia i sądy. Ludzie w Lublinie i całej tej polaci odzyskanej Polsce, skoro się nacieszyli poczuciem wolności, zanim pograżyli się w różne trudne i skomplikowane sprawy odradzającego się państwa — żądali natychmiastowego zadośćuczynienia i słusznej kary dla tych, którzy przez lata dopuszczali się potwornych zbrodni, oraz dla zdradców, którzy im służyli i pomagali. Powstał więc Sąd Specjalny, który miał za zadanie karać surowo tych przestępców. Władze bezpieczeństwa zajęły się wyszukiwaniem i dostarczaniem podsądnych, znajdując życzliwość i pomoc całego społeczeństwa.

Oczywiście, podczas tej akcji nie mógł zostać nie zauważony i pominięty lokal kawiarni „U aktorów”, tym bardziej, że po krótkiej przerwie wznowił działalność. Odnośnie władze zasypywano listami i donosami; pełne one były przeróżnych rewelacji na temat zbrodniczej działalności, którą w kawiarni i przy niej uprawiał Orsza. Pisma te przeważnie były anonimowe, lecz zdarzały się podpisane i to przez poważne osoby. Jednakże po dokładnym sprawdzeniu i przeanalizowaniu wszystkie te informacje okazały się mętne, nie sprawdzone i oparte przeważnie na plotkach z poprzednio znanej opinii, jaka w Lublinie podczas okupacji się wytworzyła. Konkretnych faktów było niewiele, a i te nie całkiem wyjaśnione. Najgorzej o Orszy mówili i zeznawali jego koledzy, oni też dali podstawy do pewnych poszlak. Koleżanki, jak zawsze, murem stały po stronie podejrzanego. Najbardziej komplikował sprawę fakt, że główny winowajca był nieobecny i miejsca jego pobytu nikt nie znał. Toteż śledztwo na razie zostało zawieszona i sprawa utknęła na martwym punkcie.

Mniej więcej w tym właśnie czasie jeden z moich bliskich przyjaciół, który wstąpił do wojska i wyjechał na front, znalazł się chwilowo w Lublinie. Tenże człowiek przez cały czas okupacji zajmował wybitne stanowisko w akowskim podziemiu. Skoro zgadło się o zagadkowej sprawie Orszy udzielił mi pewnej informacji tymi słowami:

— Był taki wypadek, że w ramach mojej pracy konspiracyjnej polecono mi zdeponować dużej wagi, a ściślej — tajne dokumenty w prywatnym mieszkaniu Orszy. Ponieważ wiedziałem, jaką fatalną opinię ma on w Lublinie i obawiając się jakiegoś tragicznego w skutkach nieporozumienia, wbrew subordynacji wojskowej wstrzymałem się z wykonaniem rozkazu i zwróciłem się do komendanta okręgu generała „Marcina” przedkładając mu swe wątpliwości. Generał na razie nie odpowiedział, lecz każe mi się zgłosić następnego dnia, i wtedy oświadczył: Może pać być spokojny, Orsza to nasz człowiek. Ty nie tylko siebie, z Orszą więcej się nie spotykałem, gdyż mam o nim niepoehlebne zdanie, ale to już odmienna sprawa i dotyczy interesów finansowych.

Wiadomość była nader ważna, gdyż wyjaśniła wiele, już od dawna dla mnie wątpliwych faktów, a tym bardziej, że pochodziły z ust absolutnie wiarygodnych.

Czas biegł szybko. Wojna się skończyła i trzeba było ustawicznie

porządkować różne wielce skomplikowane sprawy. Między innymi powołana została komisja weryfikacyjna dla aktorów, której celem było badanie zachowania i postawy podczas okupacji tych, co do których zachodziło podejrzenie, że bądź to współpracowali z okupantem, bądź wysługiwali się w sposób niegodny Polaka. W Lublinie też powstała taka komisja, współ-

razne imponderabilia, mogło to być dostateczną podstawą do wydania orzeczenia dyskwalifikującego człowieka w oczach społeczeństwa raz na zawsze.

Sprawa jednak walkowała się zbyt długo, toteż niebawem dowiedziałem się o wszystkim. Uznałem, że jest moim obowiązkiem interweniować. Za parę dni stanąłem więc przed komisją i przedliem

CZY SĄD UWIERZY?

Konrad Bielski

pracująca ściśle z warszawską centralą i oczywiście przede wszystkim na warszawski wzięła kawiarnię „U aktorów”.

Skrupulatne badania nie przyniosły żadnych rezultatów. Cóż — główny sprawca był nieuchwytny. Jego koledzy łatwo się oczyścili — byli przez cały czas przeciw niemu, on ich wyzykiwał i terroryzował, sprzeciwić się nie mogli, gdyż bał się tragicznych konsekwencji dla siebie i swych rodzin. Na placu pod ostrzałem została tylko jedna Halina B. Ona była, zgodnie z umową spółki, członkiem kierownictwa lokalnego, ona była osobą zaufaną Orszy, jego przyjaciółką, znała najlepiej wszelkie jego poczynania i brała udział w wielu przyjęciach i pijaństwach urządzanych dla gestapowców.

Już w swoim czasie organa śledcze też badały przeszłość tej osoby. I ustalono podobne fakty. Ale ten materiał dla prokuratora i sądu był zbyt nikły, zbyt ogólny i niewystarczający. Tak, ale dla komisji weryfikacyjnej, która działała na innych zasadach i więcej ceniła

się z nią tą informacją, której mi udzielił mój przyjaciel przebywający w wojsku. Wiadomość ta na sądach uczyniła duże wrażenie. Wprawdzie nie spowodowała definitywnego rozstrzygnięcia sprawy, ale przyhamowała wszelkie rozpędy oskarżycielskie, zwyciężył rozsądek i postanowiono poczekać aż się wyjaśni, co się stało z Orszą i jaką on właściwie odegrał tu rolę.

A więc znów wyjaśnienie zagadkowej sprawy odłożone zostało ad infinitum i zdawało się, że nie już z tego nie będzie. Tym bardziej, że chwile szybko mijają, lata przechodzą i tyle nowych i pasjonujących spraw i zagadnień zaprzętały myśli ludzkie w tych niezdolnych czasach.

Lecz zdarzenia potoczyły się innym torem, jak w klasycznej powieści.

Pewnego jesiennego wieczoru 1948 r., gdym zalał w swoim gabinecie przybyłych tego dnia wyjątkowo licznie interesantów —

• Ciąg dalszy na str. 6



Fot. Janusz Urban

„Dekonspiracja” emisariusza

Rozmowa z min. Antonim Bidą

„To objeżdżanie wsi, względnie folwarków, miało miejsce częściej, a jeździł poza Albrechtem jakiś delegat z Lublina, który często do Zamościa zjeżdżał i zdaje mi się spowodował utworzenie partii komunistycznej”.

Z zeznań przed sędzią śledczym świadka oskarżenia — Edmunda Nahajskiego

„W toku śledztwa ujawnionym zostało, że na zebraniu urządzone przez Kowalskiego przyjeżdżał delegat z Lublina o nazwisku czy też pseudonimie „Bida”, względnie „Bieda” — proszę o natychmiastowe przeprowadzenie rewizji w lokalu Komitetu Wykonawczego R(ady) D (elegatów) R(obotniczych)”.

sędzią śledczy

„Przesyłam protokół rewizji przeprowadzonej 7.III.1919 w lokalu RDR... Szyfru, względnie klucza do szyfru nie znaleziono; również w znalezionych spisach nie ma nazwiska „Biedy” czy „Bidy”.

Dowódca Zandarmerii

SIEDZIMY teraz w ciemnym warszawskim mieszkanku przy czarnej kawie — ów tajemniczy delegat, którego prawdziwy pseudonim przed 50 laty brzmiał Łukasz Ostrowski, a prawdziwe nazwisko Antoni Bida, i ja. Nie popełnie specjalnej niedyskrecji dodając, że pseudonim Łukasz Ostrowski poja-

wia się do dzisiaj w różnych czasopiśmie, a po raz pierwszy widniał w 1918 r. pod korespondencją w ukazującym się wówczas legalnie tygodniku „Nowa Trybuna”, zainspirowanym organie SDKPiL.

Przyjechałem, aby spisać fragmenty wspomnień człowieka, który urodził się na Lubelszczyźnie i tu spędził pierwsze lata działalności politycznej, biorąc czynny udział w organizowaniu zaczątków ruchu komunistycznego — tymczasem przez pierwszą godzinę to ja muszę opowiadać o sobie, bo mój rozmowca przypomina sobie naszą znajomość sprzed wojny, więc jest ciekaw, co było dalej, a także muszę opisywać dzisiejszy Lublin i województwo. Wreszcie — uprzedzony na wstępie surowo, abym nie używał tytułu „panie ministrze” — pytam o owe początki.

— Jeżeli chcemy mówić o roku 1918, to musimy się cofnąć do rewolucji roku 1905. W tej rewolucji Lubelszczyzna odegrała specyficzną rolę. Istniała tu największa koncentracja własności rolnej — 1500 dworów ziemiańskich, do których należała połowa ziemi uprawnej. Otóż te dwory w latach 1905—07 były terenem radykalnych ruchów służby folwarcznej. Przede wszystkim wysuwała ona postulaty ekonomiczne, uciekała się do strajków, które ziemiańskie likwidowali ekspe-

Dokończenie na str. 6

Zmarli

Muzyka

W wieku 83 lat wybitny historyk literatury polskiej, filolog i edytor — prof. dr Stanisław Pigon. Jako profesor UJ St. Pigon został w 1933 r. wywieziony przez hitlerowców do obozu koncentracyjnego Oranienburg-Sachsenhausen. Po zwolnieniu brał udział w tajnym nauczaniu akademickim w Krakowie.

Ruben Simonow, kierownik Teatru im. Wachtangowa. Trzykrotnie otrzymał nagrody państwowe, a w 1967 r. Nagrodę Leninowską. Był wychowawcą pokolenia aktorów.

Na lotnisku w Istambule zmarł na atak serca piosenkarz i aktor 47-letni Dario Moreno o prawdziwym nazwisku Davy Arugete. Ostatnio występował w Belgii w roli Sancho Pancho.

Literatura

W tym roku Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” będzie obchodziła 25-lecie istnienia. Wydawała dotychczas prawie 4 tys. tytułów w nakładzie ponad 100 mln egz.

22 lipca na Wawelu odbędzie się koncert galowy, będący zamknięciem Ogólnopolskiego Festiwalu Poetyckiego.

Na posiedzeniu w Finlandii Prezydium Światowej Rady Pokoju podjęto uchwałę, że tegoroczna setna rocznica urodzin Stanisława Wyspiańskiego będzie obchodzona w ramach światowych rocznic kulturalnych pod auspicjami SRP. Jesienią w Krakowie odbędzie się sesja naukowa.

Na domu w Warszawie przy Al. Roza 6 odsłonięto tablicę z napisem: „W tym domu mieszkał i pisał w latach 1948-53 poeta Konstanty Ildefons Gałczyński”.

W Warszawie, Krakowie, Katowicach i Szczecinie przebywała czterookonowa delegacja pisarzy węgierskich.

W ZSRB ukazał się obszerny tom zebranych Władysława Broniewskiego w przekładach wielu autorów, z obszerną przedmową przyjaciela Broniewskiego — Arnolda Słuckiego.

W Kijowie ukazała się praca kandydatki nauk filozoficznych Julii Buhahowskiej „Problematyka polskiej satyry z lat 1920-1950”.

Teatr

Wojciech Śmiemion wystąpił z prapremierą nowego programu „Wowo”. Są to gawędy bezskładkowego świątkarza Andrzeja Wawry, spisane kiedyś przez prof. T. Seweryna. Adaptował i reżyserował Piotr Płaskowski. Prapremiera odbyła się w warszawskim Teatrze Dramatycznym.

Tegoroczne Warszawskie Spotkania Teatralne zakończyły się wystawianiem „Rozmowy niezręcznej” Zeromskiego „Hosanna” w wykonaniu Teatru Współczesnego z Wrocławia. Krytycy nie byli nim zachwyceni.

PIK w Krakowie organizuje wczasy teatralne dla pracowników turystyki z terenu, którzy wyróżnili się w okresie letnim.

Mimo zniesienia cenzury teatralnej w Wielkiej Brytanii sztuka Hochutha „Zemierze” wciąż nie może być wystawiona — za każdym razem okazuje się, że sala jest już na długo wynajęta. Przynajmniej, że bohaterem sztuki jest Churchill, przedstawiony w bardzo ujemnym świetle.

W Turynie odbyła się premiera sztuki, której autorem i reżyserem jest słynny filmowiec Pier Paolo Pasolini — „Orgie”. Pasolini chce z niej zrobić także film, a teraz oświadcza, że po każdym przedstawieniu jest gotów podjąć dyskusję z niezadowolonymi widzami, jeżeli tacy znajdują się na sali.

Barcelona otrzymała wreszcie nowy budynek teatralny. Na inaugurację wystawiono „Don Pedro de Urdemalaz” Cervantesa.

Sztuka

W Zakładach Azotowych im. F. Dzierżyńskiego w Tarnowie otwarto wystawę „Azoty 68”, będącą plonem pleneru plastyków.

Pod Zgorzelcem odkryto ok. 100 grobów słowiańskich z XI w. Jak się okazało, zmarłych grzebano tam jeszcze według obrządku pogańskiego.

Szczecińskie przedsiębiorstwo Pracownia Konserwacji Zabytków przeprowadzi w tym roku konserwację zabudowy staromiejskiej w czterech miastach NRD, m.in. we Frankfurcie nad Odrą oraz w Goerlitz.

Listopadowy numer miesięcznika „Inostrannaja Literatura” przyniósł obszerny i bogato ilustrowany artykuł analityczno-retrospektywny I. Swiridy pt. „Polski plakat”.

W Bratysławie zakończyło się pierwsze Biennale. Główną nagrodę w wysokości 20 tys. koron otrzymał 21-letni rzeźbiarz słowacki Josef Jankovic. Afisz tej imprezy, zwanej „Danuvius”, został wydrukowany na plastyku.

Na aukcji dzieł sztuki w Londynie najwyższą cenę osiągnął obraz Cezanne’a „Dom w Bellevue”. Zapłacono za niego 155 tys. funtów. Drugą najwyższą cenę osiągnął obraz Bonnard’a „Naga stojąca we wnętrzu” — 86 tys. funtów.

W północnym Iraku odkryto relikwiarz z IV w. p.n.e. oraz złote wisiorzy i naczynia z XI w. Zdaniem fachowców chodzi o zupełnie dotychczas nieznane kultury.

We francuskim wydawnictwie „Cercle d’Art” jako pierwszy tom cyklu o sztuce ukazały się „Szarby sztuki rosyjskiej”, jako czwarty cyklu o najgłośniejszych muzeach świata tom poświęcony muzeum Puszkina w Moskwie.

W szwajcarskim muzeum etnograficznym otwarto pierwszą na świecie wystawę sztuki Butanu. To małe królestwo w Himalajach wciąż jeszcze jest prawie niedostępne dla Europejczyków. Wystawa obejmuje dzieła sztuki z ubiegłych wieków jak również wyroby współczesnych rzemieślników.

Dwa miliony franków przeznaczył rząd francuski na odnowienie dachu na pałacu w Wersalu. Sama blacha ołowiana na dachu waży 30 ton. Inne roboty konserwatorskie potrwać do 1972 r. Budowa pałacu została zakończona w 1710 r., ale sama kaplica była potem gruntownie przebudowywana aż pięćkrotnie.

W Łódzkim Teatrze Wielkim odbyła się prapremiera opery Tadeusza Paciorekiewicza „Romans gdański” według powieści Deotymy „Panienka z okienka”. Inscenizacja i reżyseria W. Bregy, kier. muzyczne Z. Latoszewski. Opinie o przedstawieniu są dodatnie.

Państwowa Opera Objazdowa wystąpiła z nową premierą — „Sprzedana naręczona” Bedrycha Smetany w reżyserii Włodzimierza Gotobowa.

Na Pomorzu występował 30-osobowy zespół orkiestry reprezentacyjnej Czechosłowackiej Armii Ludowej.

Tegoroczni dyplomanci szkoły muzycznej w Budapeszcie, wszyscy w wieku 13 lat, utworzyli zespół, który występuje z dużym powodzeniem za granicą, prezentując węgierską muzykę narodową.

Opera miejska w Biele (Szwajcaria) wystawiła z obryzmy sukcesem operę Szostakowicza „Katarzyna Izmailowa”. Kilka innych oper zachodnioeuropejskich również przygotowuje jej premierę.

Przyszłoroczny międzynarodowy konkurs pianistów i wiolonczelistów Marguerity Long odbędzie się w Paryżu od 3 do 23 czerwca.

Różne

Po raz czwarty przyznano doroczną plakietkę „Pogładów”, którą w roku 1968 otrzymali: Włodzimierz Błaszczyk — dyrektor muzeum regionalnego w Czeszobowie, Jerzy Kucharczyk — dyrektor Rybnickiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego oraz Jerzy Lubos — dyrektor Liceum w Zawadzkiem. Plakietka przyznawana jest corocznie za szczególne osiągnięcia na polu krzewienia kultury, za popularyzacje nauki oraz pracę społeczną. Sama plakietka wykonana jest w brązie w projekcie artysty plastyka Andrzeja S. Kowalskiego.

We wsi Ruda pow. grudziądzki oddano do użytku 36 w województwie bydgoskim gromadzką dom kultury. Pościada on salę o 200 miejscach, klub książki i prasy oraz bibliotekę z czytelniami. Wszystkie domy zbudowane w czynnie społecznym.

W jednym z kabaretów angielskich w Yorkshire po 15 latach przerwy zaczęła występować 70-letnia Gracie Fields, śpiewając piosenki w mało kompletnym stroju. W recenzjach pisze się o „sensacyjnych występach” — ale nie wiemy w jakim sensie.

Na odcroczynie ponownie rozprawie sądowej w Atenach Mikis Theodorakis pojawił się w kajdankach na rękach. Jest on deportowany do wsi Zatonu w okolicach Trypolis. Piłnuje go 12 żandarmów, nie może on przyjmować żadnych wizyt. Razem z nim mieszkają żona i syn, którzy bez specjalnego zezwolenia też nie mogą opuścić wioski.

Film

Na prapremierze filmu „One plus one” w Londynie twórcą jego Jean Luc Godard spoliczkował producenta, ponieważ dokonał on dużych zmian w filmie. Reżyser wezwał publiczność do opuszczenia sali, ale bez skutku, wobec czego Godard sam wyszedł krzycząc: wszyscy jesteście faszystami!

W roku bieżącym występowałam w 5 filmach, a właściwie w 15, ponieważ każdy był nakręcony w 3 wersjach językowych — powiedziała Gina Lollobrigida. — W lutym biorę urlop i jadę do Sudanu z wyprawą archeologiczną i będę robiła dla przyjemności zdjęcia. Od dzieciństwa marzyłam, aby być fotografką.

61-letni Alberto Moravia był najstarszym wśród 73 kandydatów, składających egzamin na przyjęcie do stowarzyszenia dziennikarzy. Jako pierwszy skończył pracę na temat „Gwałt stał się jedną z podstaw filmu włoskiego. Przedstaw rozmiary i źródła takiej sytuacji”.

Wielki pisarz i niezłomny antyfaszysta

Bożena Kowalowa

PRZY końcu ub. r. zmarł w NRD w wieku lat 81 laureat Leninowskiej Nagrody Pokojowej i Nagrody Państwowej NRD, prezydent Niemieckiej Akademii Sztuki i doktor honoris causa, Arnold Zweig. Obok pisarzy tej miary co Tomasz i Henryk Mann oraz Lion Feuchtwanger, należał Zweig do grona najwybitniejszych postępowych epików niemieckich naszego stulecia, którzy pomimo swego mieszczańskiego pochodzenia potrafili w porę dostrzec i zdemaskować w swych utworach istotę niemieckiego imperializmu, a potem stali się „wrogami nr 1” hitlerowskiego faszyzmu. Oni też po drugiej wojnie światowej powitali z radością utworzenie pierwszego w dziejach Niemiec socjalistycznego państwa — Niemieckiej Republiki Demokratycznej, gdzie Arnold Zweig został po powrocie z emigracji wybrany posłem do Izby Ludowej, dzieląc swój czas pomiędzy pracę społeczną a wszechstronną twórczość literacką.

Twórcą pierwszych postaci ludzi radzieckich — niemieckiego Grizy i Banki — w literaturze niemieckiej, oraz pierwszych „3 krwi i kości” sylwetek niemieckich robotników jak Lepsche, Paul, Klum i Heppke, przeżył Arnold Zweig długą drogę od pierwotnego zafascynowania filozofia nietzscheańska, z kolei neokantyzmem i freudyzmem, zanim — w latach czterdziestych — opowiedział się w sposób zdecydowany po stronie socjalizmu marksistowskiego. W swojej ideowej podróży znalazł swój wyraz w kolejnych etapach jego twórczości — od pierwszego sukcesu estetycznej, pogłębionej psychologicznie powieści o Kludii (1906), poprzez twórczość dramatyczną, mistrzowskie nowele i opowiadania, poprzez współpracę z antyfaszystowską prasą na emigracji — do monumentalnego, sześciotomowego cyklu powieściowego pt. „Wielka wojna białych ludzi”, będącego krytyczną analizą stosunków społeczno-kulturalnych i sytuacji politycznej w Niemczech od wybuchu I wojny światowej do niemieckiej rewolucji listopadowej 1918 r. Tematem najbliższej powieści z tego cyklu, znanej polskiemu czytelnikowi jeszcze z okresu międzywojennego, pt. „Spór o sierżanta Grizę” — jest tragiczny los rozstrzelanego niewinnie, w imię politycznych interesów pruskiego dowódcy armii, rosyjskiego jeńca Grizy Paprotkina. Dla autora staje się to równocześnie pretekstem literackim dla zdemaskowania rzeczywistej sytuacji na froncie niemieckim, a także — zważywszy datę powstania powieści, rok 1927 — dla ostrzeżenia spo-



leczeństwa Republiki Weimarskiej przed powtórna hegemonią armii w państwie. Dla przedstawicieli pacyfistycznego obozu w literaturze niemieckiej pierwsza wojna światowa była czymś niezrozumiałym, tragicznym w swej rzekomej przypadkowości dla Zweiga natomiast było to dążenie się naukowe wytłumaczenie zmian interesów niemieckiego obcego imperializmu. Wychodzące

Dokończenie na str. 9

Noc sylwestrowa przed ćwierćwieczem

M IJA właśnie 25 lat od pamiętnej nocy sylwestrowej, kiedy to z inicjatywy Polskiej Partii Robotniczej przy współudziale grup działaczy socjalistów, ludowców, demokratów, wszystkich, dla których nie był obojętny kształt jutrzejszej Polski, utworzono Krajową Radę Narodową. Leży przede mną niezwykle ważny dokument: Deklaracja KRN o zadaniach i programie Rady, uchwalona na pierwszym plenarnym posiedzeniu KRN. Deklaracja głosiła m. in.:

praw demokratycznych i roli gospodarza w odzyskanej Polsce”.

W dalszym ciągu Deklaracja zapowiadała przeprowadzenie reformy rolnej, nacjonalizację wielkiego przemysłu, kopalń, banków i transportu. Wspominając o granicach przyszłej Polski Deklaracja mówi o przywróceniu wszystkich ziem polskich na zachodzie i północy, które zostały przemocą zgermanizowane, a także o rozwiązaniu problemów granicznych na wschodzie na drodze przyjaznego porozumienia się z ZSRR.

„Krajowa Rada Narodowa wyłoniona w dniu 1 stycznia 1944 r. w Warszawie przez demokratycznie-niepodległościowe organizacje polityczne, wojskowe i społeczne — staje przed narodem polskim jako wykonawczy jego woli, powołana i upoważniona do kierowania jego walką w imię najwyższej zasady: narodowego i państwowego interesu Polski.

Zajmując stanowisko wobec rządu londyńskiego KRN odmówiła mu prawa występowania w imieniu narodu polskiego. „Tak jak naród nigdy nie uznał elitarno-totalistycznej konstytucji z kwietnia 1935 na której opiera się rząd londyński, tak samo nigdy nie uzna tego rządu za swego przedstawiciela”.

KRN zapowiedziała powołanie Rządu Tymczasowego w chwili, kiedy wymagać tego będzie interes narodu.

Krajowa Rada Narodowa stawia przed sobą jako główne i naczelne zadanie: zjednoczenie i mobilizację wszystkich sił narodu i wszystkich środków do walki na śmierć i życie z bestialskim okupantem w celu wyzwolenia Polski. Dla osiągnięcia tego celu Krajowa Rada Narodowa

W protokołach pierwszego plenarnego posiedzenia KRN zachowało się przemówienie ob. Turskiego (Mariana Spychałskiego). Zaczynało się ono od słów: „Dowództwo Główne Gwardii Ludowej oświadcza: W obliczu przełomowych chwil w dziejach świata, świadomi odpowiedzialności za losy narodu, który ciąży na każdym Polaku, zgłaszamy przystąpienie organizacji wojskowej Gwardii Ludowej do Krajowej Rady Narodowej, aby pod jej przewodnictwem walczyć nadal o wolność i niepodległość Polski”.

powołuje do życia Armię Ludową jako siłę zbrojną narodu, która skupić winna w swych szeregach wszystkich chcących walczyć o niepodległość Ojczyzny: mianuje dowództwo Armii Ludowej,

już najbliższe miesiące wykazały, jak olbrzymie znaczenie dla przyszłości Polski miało powołanie Krajowej Rady Narodowej. Patrząc dziś z perspektywy ćwierćwiecza w całość pełni doceniamy inicjatywę polskich komunistów, Polskiej Partii Robotniczej, która umiała prawidłowo przewidzieć i wyzwać naród z wyzwoleniem społecznym.

obejmuje władzę zwierzchnią nad siłami zbrojnymi narodu polskiego, nie spocznie w swej pracy nad organizacją czynu zbrojnego całego narodu aż do chwili wywalenia wolnej, demokratycznej i suwerennej Polski.

Krajowa Rada Narodowa oświadcza, iż w Polsce wyzwolonej panować musi sprawiedliwość społeczna. Wielkość i moc Ojczyzny oprzeć trzeba na zabezpieczeniu szerokim masom pracującym miast i wsi — robotnikom, chłopom, rzemieślnikom, pracownikom umysłowym i inteligencji — pokojowego i pewnego bytu materialnego, nauki, wolności, pełnych

Kielecko-Radomska Wyższa Szkoła Inżynierska

Inżynierowie nadal poszukiwani

Kontynuując cykl tematyczny związany z aktualną sytuacją wyższych uczelni Polskich wschodniej, zamieszczamy informacje dotyczące rozwoju Kielecko-Radomskiej WSI, udzielone nam przez rektora Szkoły — doc. dra inż. Bronisława Ślusarczyka:

munikacji. Po zrealizowaniu wszystkich zamierzeń WSI będzie posiadała 7 wydziałów z 11 specjalizacjami.

Aktualna i planowana struktura organizacyjna wymaga wzniesienia odpowiedniej bazy lokalowej. Obecnie w Kielecku mamy do dyspozycji dwa budynki dostosowane do potrzeb szkolnictwa średniego oraz dwa nowe, 3-kondygnacyjne domy studenckie. W Radomiu Szkoła posiada jeden obiekt a w Skarżysku korzysta z budynku Zakładów Metalowych. W oparciu o potrzeby WSI opracowano szczegółowy harmonogram rozbudowy tej bazy, co poehlonie ogółem 363,3 mln zł. Niektóre obiekty już znajdują się w realizacji.

Spora trudność przysparza skompletowanie właściwej kadry naukowo-dydaktycznej. Niższa ranga WSI w stosunku do politechnik nie zachęca pracowników tej ostatniej do przechodzenia do wojewódzkiej uczelni. Często jesteśmy w stanie oferować tylko równorzędne stanowisko, a w niektórych wypadkach nawet niższe. Nr. adiunkt z doktoratem z uczelni akademickiej nie obejmuje etatu starszego wykładowcy (nie istnieje u nas stanowisko „adiunkt”), gdyż przy identycznym uposażeniu obowiązujący go wymiar godzin będzie większy o 30. W takich przypadkach należałoby oferować stanowisko docenta, co nie leży w kompetencji rektora.

Jeśli uwzględnimy fakty, że Szkoła nie posiada jeszcze w pełni wystarczającej bazy lokalowej i laboratoryjnej oraz odpowiednich pomieszczeń na gabinety administracyjne, to dopiero wówczas uzmysłowimy sobie miarę trudności przy kompletowaniu kadry. Niejednokrotnie nie mogliśmy od razu spełnić wszystkich wymagań danego kandydata, ani zapewnić mu odpowiednich warunków rozwoju naukowego, takich, jakich posiadał w poprzednim środowisku. Mimo tych negatywnych, stan liczbowy kadry naukowo-dydaktycznej ciągle wzrasta — równoległe podnoszeniem się jej poziomu dydaktycznego. Niema-

ły wpływ na polepszenie tej sytuacji ma wydatna pomoc mieszkaniowa w miastach, które pod tym względem zaspokoiły wszystkie nasze dotychczasowe potrzeby.

Obecnie w WSI wykłada 2 docenci i 7 doktorów, a 13 pracowników pełni otwarte przewody doktorskie, lub przygotowuje się do ich otwarcia. Na podstawie przypuszczeń, że w bieżącym roku akademickim uda nam się uzyskać jeszcze kilku docentów i doktorów.

Obecna liczba pracowników dydaktyczno-naukowych zaspokaja 70% potrzeb Szkoły w tym zakresie. W doprowadzenia do optymalnej struktury kadrowej nawiazaliśmy odpowiednie kontakty z AGH w Krakowie i Politechnikami w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu i Szczecinie.

Każdy wydział WSI posiada plany na do prowadzenia studiów w innych, wieczorowych i zaocznych. W trakcie utworzenia Szkoły świadczącej o stopniach liczb studentów: w 1970 r. 1000, w 1971 r. 1200, w 1972 r. 1500. W tym celu w 1970 r. rozpoczęliśmy badania nieliczne w roku akademickim 1970/71 na studiach dziennych i wieczornych, a na zaocznych i w 1971 r. w 2300, w sumie więc 2300 studentów.

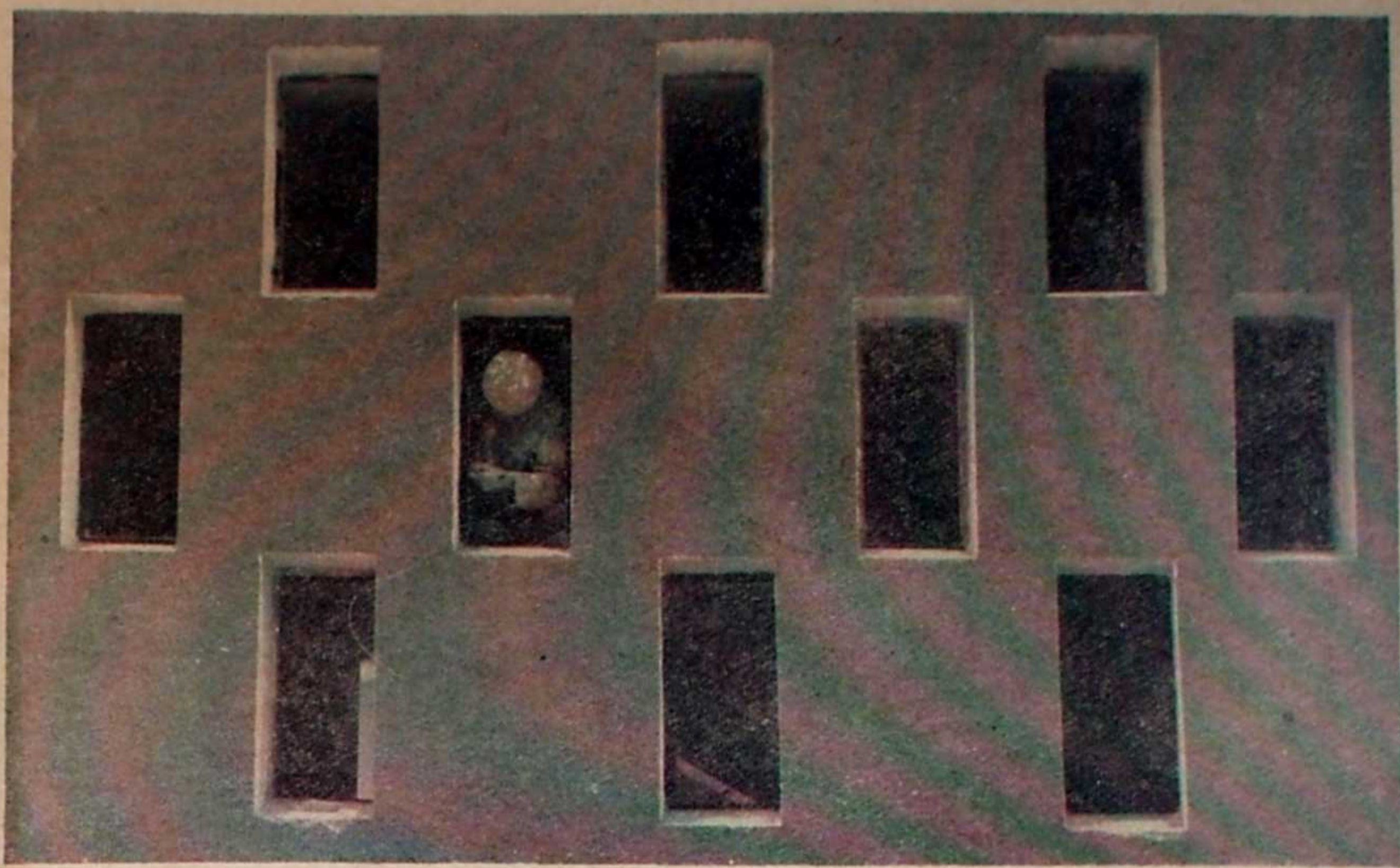
Dotychczas wydano 238 dyplomów planujemy, że do roku 1971 wydamy 1028, a do 1975 — około 2200. W 1970 r. 70 proc. potrzeb gospodarki wojewódzkiej.

Przy pomysłowej realizacji planów struktury organizacyjnej i kadrowej Szkoły liczba studentów powinna osiągnąć około 3000 w 1975 r. Wobec szybkiego rozwoju nauki i techniki konieczne jest wprowadzenie do studiów magisterskich oraz podyplomowych, polegające na zdobywaniu stopni specjalizacyjnych.



Aby zostać aktorką, nie wystarczy dobrze grać, trzeba jeszcze umieć oczarować producentów — twierdzi Monique Gaubert. Można sądzić, że i to jej się udaje...

SŁOWO PO ZJEZDZIE



Fot. Janusz Urban

AKTUALNY czas polityczny po V Zjeździe PZPR wyróżnia się naporem zagadnień dotyczących najistotniejszych spraw naszego kraju. Jest to więc okoliczność szczególnego rachunku postaw i przekonań, nastawień i orientacji. Okoliczność, w której dzisiejszy socjalistyczny argument w odróżnieniu od przedwczorajszego sloganu daje się słyszeć w brzmieniu wyraźnym i przekonującym.

Nie zawsze jednak tak było. Parę lat ubiegłych to okres intensywnego docierania do świadomości społecznej ze strony naszej publicystyki i propagandy. „Mała stabilizacja” w dziedzinie ekonomicznej (jej odpowiednikiem w literaturze jest „mały realizm”) spowodowała stan umysłów, który można by określić słowami „przewyższaliśmy się do socjalizmu”. To znaczy — przy pewnych dokonaniach dla zapewnienia zadawalającego poziomu stopy życiowej — zapomniało milcząco przyjęte przekonanie, że argumentacja na rzecz ustroju została tym samym dokonana i nie ma potrzeby — może nawet w obawie przed oczywistością — czynienia w tym względzie nowych wysiłków. Takie postawienie sprawy może być wystarczające na płaszczyźnie ekonomicznej, ale socjalizm w ogóle nie może nie stawiać wymagania nieustannego ruchu umysłowego, nie może nie obejmować dziedzin nadbudowy, jak wartości estetyczne, moralne, intelektualne, jak zespół zagadnień światopoglądowych, sztuka, literatura itp.

Co tymczasem mieliśmy do zaobserwowania w Polsce, a więc w kraju politycznie socjalistycznym, a geograficznie wschodnim? Oto nieustająca promienność i gestów rodem zza wielu granic zachodnich, gestów wojujących na papierach interesujących osiągnięć kulturalnych, jak by właśnie owym manieryzmowi przysługiwał przywilej ograniczenia restrykcji kontrolnych, kiedy wartość dzieła za tym przemawia. Nie chcę trywializować problemu, który ma swoje potraktowanie ze strony psychologii i socjologii, nie stawiam też żadnego znaku równania między szerokością spodni a treścią światopoglądu, ale sprawa, jeśli ją ujrzyć od strony istotniejszej, powoduje jakiegoś znaki zapytania. Czym mianowicie zafrapowały owe alienacje, frustracje, dezintegracje, inkomodacje, a nawet aberracje z paryskiego żurnala, że stały się tak atrakcyjnym wdziankiem dla naszych kilkunastoletków? Ze weszły w styl życia środowiska, którego przedstawiciele nie tylko nie mogą podzielać, ale po prostu nie znają filozoficzno-swiatopoglądowych orientacji w ten sposób — ubocznie zresztą — skutkujących na terenie stroju i obyczajów? Myślę, że po modelu zachowań ferowanym przez organizację młodzieżową w okresie tzw. „minionym”, modelu schematycznym i niesłusznym, ale jakimś, nastąpiła w tym miejscu pustka, której nie wypełniły propozycje czasów późniejszych. Wypełniła ją jakoś pierwsza z brzegu, a nawet mająca pozory jakiegoś odgłębienia poprzednich przegrzęd. Za mało zaś prezentowało się tej młodzieży potrzebę praktykowania form obyczajowych mających bliższy związek z treścią naszych socjalistycznych stosunków. Wytworzył się paradoks szczególny, a polegający na tym, że młodzi ludzie znad Wisły, i to w latach sześćdziesiątych naszego stulecia, poczuli w sobie katagoryczny wprost imperatyw prezentowania się w stroju i obuwii noszonym na drugiej półkuli. Ma to niby zaakcentować indywidualność, a właśnie rozmiła się nawet z tak pojętą intencją, bo jest nieautentyczne, nieprawdziwe, nie wynika z rzeczywistej sytuacji życiowej.

Oczywiście — mniej, niż połowa biedy — kiedy rzecz dotyczy stroju, czy użytkownika języka, który w ujęciu tego środowiska przeliczył nie zawsze przekształca się w wynaturzony i karykaturalny żargon. Gorzej, kiedy psychika, postawa tych grup wykazuje mniej lub dalej posunięty indyferentyzm w stosunku do pojęć określających treść świadomości współczesnego człowieka soc-

jalistycznego; kiedy nawet ciśnienie tamtej atmosfery towarzyskiej skutkuje na tyle, że wytwarza uczuciową izolację wobec wartości niesionych przez rozwój naszego kraju.

Z konieczności mówię skrótowo i przykładowo, ale chodzi mi o wskazanie pewnych terenów, na których nasza publicystyka wykazała nieusprawiedliwioną nieobecność. Daleki jestem od przedstawiania specjalistycznych analiz, ale godzi się tu dorzucić słówko o krytyce literackiej, która oceniając produkt młodej literatury — mam na myśli szczególnie poezję — widziała wiele spraw często nieistotnych, nie zwróciła zaś uwagi na rodzaj wartości moralnych, na model człowieka tą literaturą kreowany. Nie chcemy łatwych agitek. Nie chcemy autorów ulegających zamówieniu administracyjnemu, czy nawet — jak się dawniej mówiło — telefonicznemu. *Potrzeba nam — to powiedział Majakowski — poetów dobrych i różnych.* Ale też nie sposób i młodzieży literackiej i literatury w ogóle nie ambicjonować w kierunku ukazywania najatrakcyjniejszej idei społeczno-politycznej naszego czasu, idei zyskującej taką popularność również w krajach trzeciego świata, które wyzwolone z kolonialnego ucisku, wybierając perspektywę swego rozwoju, dokonują wyboru na rzecz socjalizmu. To właśnie już 15 lat temu miał na myśli wybitny polski poeta Konstanty Ildefons Gałczyński pisząc:

*Grzeją ręce ludy ciemniące
jak przy ogniu przy fładze czerwonej*

Jako organizm państwowy socjalizm w ogóle liczy 51 lat, jeszcze nie połowę tego w naszym kraju. Ale już te pół wieku to epoka. Nie tylko obowiązkiem, ale i satysfakcją jest dorzucić choć okrucich do tej budowy, częstokroć określoną możliwościami i umiejętnościami każdego z nas. Oczywiście, wymaga to postawy określonej mianem zaangażowania, lecz trzeba tu zauważyć, że wokół tego pojęcia koncentrują się mniemania i refleksje często wynikające z niezrozumienia jego dzisiejszej treści. Nierzadko nawet przy pełnym oddaniu socjalistycznej idei występuje niepewność co do tego, w jaki sposób należy je uzewnętrzniać. Zachodzi obawa, czy podobny akt nie rozmiłnie się z zamierzonym skutkiem. Odpowiedź jest jedna. Wyraz zaangażowania to nie suma zewnętrznych gestów, czy łatwych deklaracji, nie mechaniczny akcent afirmujący, ale postępowanie wynikłe z wewnętrznej przekonania co do obiektywnej słuszności rozstrzygnięć i procesów związanych z ustrojem socjalistycznym w Polsce. To po prostu działanie zgodne z własnym odczuciem korzyści, jakie ten ustrój przynosi i gotowość wyłożenia wszystkich posiadanych — łącznie z osobistymi — argumentów, przemawiających na rzecz takiej, a nie innej oceny. Pusty frazes zawsze trafi w obojętność. Nie w obojętność trafi prezentacja poglądu, za którym stoi człowiek w swych perspektywach dziejowych określony i wsparty warunkami rozwoju logicznie wynikającymi z naszych historycznych, ekonomicznych i społecznych przesłanek.

Takie oddziaływanie na świadomość społeczną wymaga znacznego i z biegiem życia stale rosnącego zasobu kwalifikacji umysłowych. Świat współczesny narasta coraz większym bogactwem zjawisk i problemów. Ścierają się filozofie i programy naukowe, kontrowersje dotyczą sposobów bycia i sposobów myślenia. Piękne hasło „Polska krajem ludzi kształcących się” wychodzi naprzeciw tym procesom, żądając od nas pomnażania umiejętności w naszym własnym interesie i dla tym skuteczniejszego działania na rzecz kraju. I właśnie to: osiągnięta nauką kompetencja, przydatność, fachowość, a także uczciwość i konsekwencja w przestrzeganiu właściwych miar — powinny być czynnikami określającymi pozycję jednostki w społeczeństwie.

Tymczasem nie można nie zauważyć, że zachodzą u nas wypadki z tą elementarną zasadą sprzeczne, a tak umiejętnie przez samych zainteresowanych wkomponowane

w to najoczywistszych racji ustrojowych, że właśnie oni mogą uchodzić za czołowych szermierzy socjalizmu. Wiele spraw z tego zakresu zostało poruszonych w czasie dyskusji na temat socjalistycznych stosunków międzyludzkich, ale myślę, że temu tematowi nigdy dość zainteresowania. Przynajmniej nie dość jeszcze dziś, jako że nabrzmiewa coraz nową, by nie powiedzieć interesującą dokumentacją. Jeżeli jawne kacykostwo, oparte na zasadzie „bo tak mi się podoba”, musiało zejść ze społecznej sceny, to zeszło, ale na krótki czas, bo powróciło na nią zaopatrzony w odpowiedni kostium w garderobie. Występuje teraz w przebraniu nadzrodnej i prawie wtajemniczenia wymagającej troski o dobro instytucji. Przy czym w dalszym ciągu główną kategorią jest tu dyrektorskie, czy kierownicowskie „ja” które ma błyszczeć — w przeciwieństwie do szarego „oni”, mającego stanować tło.

Byłoby i to jeszcze jakoś do przelknięcia, gdyby nie pewna okoliczność. Otóż owemu „ja” często brakuje umiejętności i inicjatywy, a te — o zgrozo! — dają się zauważyć u kogoś z podległej masy, więc jedyną skuteczną metodą mogącą uratować nadmuchany prestiż jest użycie całej dyrektorskiej władzy dla zahamowania nie od dyrektora pochodzącej inicjatywy. Bywało, że magazyńcyer, czujący kontrolę na tropie swoich nadużyć, powodował „przypadkowy” pożar magazynu. Tak samo zasługują się państwu dyrektor wybierający nawet wyjąłownie kierowanej przez siebie instytucji z wartościowych poczynań, byle nie dopuścić do zasług mogących być przyznany innej, niż jego dyrektorska, osobie.

Sprawa ta, aczkolwiek w pierwszych momentach nie sprzyja jasnej diagnozie, to w końcu wymaga jasnego postawienia. Ambicja jest zawsze czymś wartościowym i Polska Ludowa dysponuje wystarczającym zespołem środków, by zdrowej ambicji nie tylko stało się zadość, ale by poszerzyć przed nią pole działania. Jednakże jedynym kierunkiem prawdziwie ambitnych zamierzeń może być tylko to, co łączy się z pracą nad podnoszeniem kwalifikacji, inspirowaniem jej w otoczeniu, dążnością do stosowania kryteriów sprawiedliwie kwitujących rodzaje i rozmiary zasług.

Określono wyżej dyrektorowi może podać rękę ten już nie kryjący, bo nie mogący ukryć swych praktyk fabrykant, którego nazywamy mianem brakoroba. Nie od strony techniczno-ekonomicznej poruszam tę sprawę. Już nie chodzi mi o sam procent produktu idącego z fabryki na złom. Pytam natomiast — gdzie jest elementarne poczucie odpowiedzialności, nawet własnego interesu, u kogoś, kto wypuszcza spod swej ręki wytwory dalekie od możliwości użytku? Ze w danej chwili nie produkuje dla siebie? Toż brakorobowi — hydrauliczowi odwzajemni się brakorob — elektryk, kiedy się zmienia na budowach osiedla mieszkaniowego, w którym obaj mają zamieszkać. I tak partactwo wraca bumerangiem do partacza, któremu w ostatecznym rachunku udaje się oszukać samego siebie. To — jeśli chodzi o materialny aspekt sprawy. A przecież pozostaje jeszcze cały obszar wartości i godności człowieka, pozostaje cały obszar — nie zawaham się określić — polityczny, kiedy zła robota ma przecież olbrzymi potencjał antypropagandy pod adresem ustanowienia i posunięcia naszego kierownictwa państwowego. Podkreślam specjalnie ten moment, bo jestem przekonany, że brakorob to nie tylko ot, zwykły sobie pocziwina, niezbyt staranny pracownik. W obiektywnej wymowie to rzecznik i wykonawca programu „na nie” w stosunku do założeń i praktyki socjalistycznego budownictwa.

Przedstawiłem tu kilka zjawisk w różnym oczywiście stopniu hamujących przebieg naszej idei na język konkretnych i sprawdzalnych dokonań. Zjawiska te mają charakter jeśli nie zawsze dynamiczny, to zawsze ciągły i nie innego domagają się przeciw-

działania. Byliśmy jednak świadkami również gwałtownego i niespodziewanego ataku na socjalizm, wiosną ubiegłego roku. Nie będę analizował sprawy wielokrotnie już nasświetlanej, potrącając tylko o ten aspekt, który łączy się ze sprawami kultury tak nieoczekiwanie rzekomo zagrożonej właśnie w roku 1968. Zdumiewa ta data. Cofnięta o dobrych lat kilkanaście mogłaby mieć jakiegoś uzasadnienie, ale wtedy wielu z energicznych dziś Rejtanów ani śniła się postawa jakichkolwiek zastrzeżeń w stosunku do błędów i uchybień związanych z ówczesnym okresem administrowania. Ba, sami oni występowali w roli heroldów spłaszczonoego pojmowania funkcji kultury, zasługująco na osobliwego zaszczytu miano prekursorów schematyzmu. Możliwe, że po latach zapragnęli po prostu wyrównać swój osobisty bilans przez dodanie pozycji mechanicznie przeciwnych poprzedniemu zapędowi, nie zauważyli jednak, że w ten sposób całą rzecz przechodzi na płaszczyznę groteski. Inni tę groteskę zagrali chyba świadomie, kompensując tym brak autentycznego ruchu umysłowego w swoim środowisku, bo trudno uznać, że nagle skrepowanymi poczuli się autorzy publikowani w skali wydolności pióra, a bynajmniej nie świadczący żadnych tzw. „serwitutów” na rzecz poglądów ideologiczno-politycznych. Ja osobiście zagrożenie dla kultury widziałem od strony zmywu, czy manery pseudonowoczesności, a także płytko pojętej europejskości, panującej w niektórych redakcjach z siłą anonimowego dyktatu.

W grze politycznej wysunięto hasła humanizmu i wolności potraktowane w stylu wiecowej demagogii. To znaczy na chwilowy użytek taktyczny, z myślą o ich pozaintelektualnym oddziaływanu na sferę emocji. Samo uleganie emocjom nie może doznawać ujemnej oceny, leży ono w charakterze polskiego patriotyzmu, a także pierwiastek uczuciowy stanowi istotny składnik socjalistycznego zaangażowania, rzecz jednak w tym, jakiego rodzaju treści, jakiego rodzaju racje prezentuje się w atmosferze takiego poruszenia. Racje naszego kraju wystarczająco określiła historia ostatnich kilkudziesięciu lat. Najszlachetniejszego nawet charakteru oderwane życzenie ogólne jest jednak czymś innym, aniżeli wyraźne widzenie warunków określających możliwość optymalnego rozwoju.

Świadomość tego faktu, — świadomość nie wiążąca kogoś, kto pragnie zyskać łatwą popularność, czy błysnąć fajerwerkim protestu, bo program polityczny inny niż socjalizm może być tylko niezbieżny z interesami szerokich mas polskiego narodu — pozwoliła nam spokojnie i słusznie rozstrzygnąć sprawę wówczas wniesioną na wokandy życia politycznego. Wiosną 68 odpowiedziała jesienią 68 i jakkolwiek pod względem kalendarzowym jest inaczej, pod względem politycznym to właśnie zdrowe poruszenie w kraju, jakiego byliśmy i jesteśmy świadkami, korzystnie przemawia na rzecz rozwojowych propozycji. W sumieniach Polaków partia wygrała bitwę o rozumienie losów Polski. Potrafiła też natchnąć rzetelną odpowiedzialnością za przyszły polityczny i ideologiczny kształt naszego społeczeństwa, skoro w odpowiedzi na V Zjazd dał się ujrzyć taki potencjał wysiłku i ofiarności postawiony do dyspozycji przodującej sily narodu. Ofiarności ta wyraziła się językiem najdobitniejszym, bo językiem czynu produkcyjnego, realizowanego przez załogi fabryk i wszystkich ludzi pracy w Polsce.

Okres obecny to okres wielkiej w kraju uwagi, a także mobilizacji do zadań, jakie nas czekają po zapadnięciu decyzji zjazdowych. Wymaga on od nas tym intensywniejszych, tym skuteczniejszych, tym skrupulatniejszych starań, by treść obecnie podjętych uchwał w najpełniejszym swym kształcie mogła wrosnąć w przyszły polityk narodu.

... To na zakończenie jeszcze raz proszę Pana Dyrektora o spełnienie mojej prośby i będę Panu Dyrektorowi za to szczerze wdzięczny, bo Pan jest dla mnie ostatnią deską ratunku w tej sytuacji, bo teraz to nigdzie nie pracuję, nie ma z czego żyć i tylko czekam na Pana decyzję.

MATKĘ Jan Łazarz pamięta z września trzydziestego dziewiątego roku, właściwie pamięta tylko jej twarz (?) — wielkie piwne oczy, długie rzęsy, delikatny owal twarzy, lekko brązowy puszek nad nieco uniesioną górną wargą, długie włosy związane w gruby podjadany warkocz. To wszystko. Od tamtego czasu nie widział matki, po dzień dzisiejszy nie wie, co się z nią stało, wierzy jednak, że matka żyje i wytrwale jej poszukuje. Podczas okupacji pasał krowy u kilku gospodarzy w różnych wioskach powiatu chełmskiego, po wojnie trafił do domu dziecka w Lidzbarku Warmińskim. Nieustannie poszukiwania matki przez PCK nie dawały żadnych rezultatów, co zresztą w niczym nie podważało wiary w jej istnienie.

Po ukończeniu siódmej klasy Janek poprosił o wysłanie do „zawodówki” na Śląsk. Dobry i mądry wychowawca znalazł kłopoty każdego podopiecznego, każdego rozumiał, załatwił Jankowi wyjazd. Przez dwa lata nauki w zawodowce chłopak starannie ukrywał swoje osobiste sprawy (sieroctwo i fakt, że był niesłubnym dzieckiem), żyjąc w ciągłym strachu, że jego tajemnica — odczuwana jako piekące osobiste upokorzenie — może się któregoś dnia wydać: *Redaktor tym nie czuje. Tam życie inaczej. Jakby dotykać gołą ręką i w rękawicy.* Udało się bez wstrząsów — w czerwcu pięćdziesiątego trzeciego roku otrzymał zupełnie przyzwoite świadectwo ukończenia jednej z katowickich szkół zawodowych i jeszcze w lipcu podjął pracę w kopalni jako ślusarz w grupie remontowej maszyn górniczych. Ciężko było na początku pod ziemią. Potem się przyzwyczaił. Ale tylko do pracy — z nikim żyć się nie potrafił, nie mówiąc już o przyjaźni. *Inni kompli fest mieli, szczęście nie każdego. Sam byłem*

Z samotności dorastającego Janka rodzi się jego hobby, a raczej serdeczna pasja.

Poszukuje ludzi: hasel — tych z lat pięćdziesiątych — ma aż nadto na co dzień. Wreszcie przypadkiem trafia na wystawę prac plastycznych zorganizowaną przez macierzysty ZDK. Janka uderza barwa, kształt, kombinacja i swobodna gra formy, odkrywa dla siebie tajemnicę perspektywy i głębi, poddaje się fascynacji nie znanej mu dotąd sztuki. Jeszcze w tym samym dniu kupuje szkolne farby i pędzel. O innych przyborach, paletce, gatunkach farb — nie miał wówczas jeszcze pojęcia. To przyszło potem, kiedy po pięćdziesiątym szóstym został członkiem pracowniczej grupy twórczej, której patronowała Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych. Później też przyszyły pierwsze sukcesy: udział w zorganizowanej przez CRZZ w stolicy wystawie, zakwalifikowanie dwu eksponatów, pejzażu i rzeźby w drzewie, na wystawie w NRD. Do dziś Jan Łazarz

skrzętnie przechowuje wycinki prasowe ze swoim nazwiskiem i katalogi z tych dwu wystaw. Równocześnie Łazarz powoli odrzuca je równowagę psychiczną, przez kilka miesięcy chodził nawet z dziewczyną, w marzeniach widział ją jako swoją żonę, lecz nie śnił jej tego powie, więc dziewczyna zaczęła chodzić z innym i niebawem wyszła za mąż. Odcierpiał to, ale nie za bardzo, przecież od samego początku znajomości liczył się z takim właśnie obrotem sprawy... Po roku już tylko z rzadka nawiedzały go stany depresji i następujące po nich bóle żołądka (owróżdzenie na tle nerwicy wegetatywnej). Wreszcie lekarz oświadczył, że czas na resekcję schorowanej części organu; lepsze to niż hipotetyczne wprowadzić, lecz szkodliwe niebezpieczeństwo powstania nowotworu. Przy uzyskanej równowadze systemu nerwowego były szanse, że po operacji niska wrzodowa już się nie odnowi. Przewidywania lekarza sprawdziły się: bezsenne noce wypełnione potwornym bólem przeszły do złych wspomnień.

Łazarzowe podanie

Stanisław Harasimiuk

Tam dobrze było. Jak nigdy... Łazarz zdobywa dyplom mistrza, otrzymuje najwyższą, dziewiątą grupę zaszerogowania. Większość oszczędności przeznaczona na narzędzia rzeźbiarskie, malarski sprzęt, materiały. Resztę odkłada na książeczkę mieszkaniową i nieustające poszukiwania rodziców, głównie matki. Wierzy, że ją odnajdzie i zamieszkają wspólnie — stąd ta książeczka PKO. Każdy urlop spędza w innym województwie, szpera w archiwach, magistrackich księgach meldunkowych. Trafia na wiele śladów, które ostatecznie jednak wiodą do nikąd. Nie ustępuje. Rodzina stała się mitem.

Dopiero w czerwcu 1967 roku znajduje cudem ocalałe listy matki, zachowane przez babkę ze strony ojca. Tę wiekową staruszkę odnalazł zupełnie przypadkowo, nośła przecież inne nazwisko.

Nie czekał na spotkanie z ojcem, przebywającym podówczas na delegacji w Szczecinie. Nazajutrz był już na Śląsku, w ciągu kilku dni załatwił obiegówkę i wrócił natychmiast do Lublina. Tu bez trudu znalazł pracę. I dopiero teraz spotkał się z ojcem. Spotkanie raczej go rozczarowało: ci dwoje dorośli mężczyźni nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia i byli mocno skrepowani. Tym bardziej, że ojciec jeszcze dwadzieścia lat temu założył własną rodzinę, miał żonę i troje dorastających dzieci; tym

bardziej, że ojciec ówczesny nie wiedział o matce Jana Łazarza.

Ale Jan Łazarz mimo to pozostał w Lublinie. W nowej pracy przyjęto go w tej samej, IX grupie zaszerogowania, do pracy był chętny, a tej w służbie głównego mechanika nie brakowało. Zdarzały się nierzadko „nadliczówki”. Po kilku miesiącach, opierając się o własne notatki, zapytał swego szefa, kiedy otrzyma wynagrodzenie za pracę w godzinach nadliczbowych. Ten szczerze się zdumiał: *Co ty, na jakim ty świecie żyjesz, człowieku, jakie nadliczówki?* Łazarz tłumaczył cierpliwie, data po dacie przypominał — przy remoncie prasy, 24 sierpnia, 4 godziny, w dwa dni później przy usuwaniu awarii na wydziale 6 godzin... w ciągu ostatnich pięciu miesięcy zebrało się na sumę 1520 złotych po potrąceniu podatku, na rękę. Wówczas szef powiedział, że wszystko to może i prawda, ale forsę i tak nie będzie. Limit wyzerpan... *Człowieku, park maszynowy u nas to w większości gru-*

wywoływali do fikcyjnego telefonu do kantorka szefa i rzeźbi widząc, jak stamtąd wraca, skonfundowany po ostrej reprymendzie.

Zaciął się, postanowił, że nie da się wyprowadzić z równowagi. Ale mówić łatwo. Co innego, jak każdy ci na opak, okoniem. Na złość i śmiechem w oczy. Coraz częściej się zdarzało, że Łazarz nie wykonywał na czas powierzonych mu zadań, coraz częściej na jego głowę sypały się gromy i uszczypliwe uwagi, że facet z IX grupy za pół czasu zrobiłby to samo. I denerwował się, płał piekącym, gorzkim wstydem, bo przecież przez kilkanaście lat pracował dobrze, awansował, zbierał pochwały, dyplomy i nagrody.

Oczywiście z tej atmosfery nie dobrego wyniknąć nie mogło. Nowy szef po kilku miesiącach przeniósł Łazarza do trzeciego z kolei wydziału. Nie wytrzymał nerwy, nastąpił kryzys. Łazarz wyładował w klinice neurologicznej. Leżał tam w lutym i marcu ubiegłego roku. Przy wypisie ze szpitala lekarz odnotował w karcie informacyjnej:

choty. A przepisy sztywno określają granicę na nadgodziny. Forsy nie ma na ten kwartał. Nie ty jeden robisz w nadgodzinach, prawie wszyscy u mechanika. Bo rozumiesz, produkcja musi być zabezpieczona, musi iść. Nie pójdziesz, to planu nie będzie, a nie będzie planu, to i z premii nici.

Łazarz nie mógł zrozumieć tego tłumaczenia, choć było lapidarne, jednoznaczne. Przywykł na Śląsku, że nadliczówki były regularnie wypłacane, nie trzeba było się nawet o nie upominać, szef sam prowadził rzetelny rejestr. Podejrzewał, że obecny szef robi go po prostu w konia. Interweniował. Po tygodniu został przeniesiony na inny wydział. I tu spostrzegł, że traktują go dziwnie. Wszyscy bez wyjątku. Narzędzi z wypożyczalni nie można było się doprosić, po rysunek czy schemat przez kilka dni chodził i na wszystko czekał. Tymczasem nowy szef ponaglał: *Kiedy, do cholery, skończysz robić te obrabiarki w bocznej nawie?* Łazarz tłumaczył, że ma trudności z uzyskaniem narzędzi, że szafka mu nawet po miesiącu nie przyjdzie, chociaż inni mają po trzy... *Do cholery, Łazarz, ja wam za szafkę chodzić nie będę — kłaj szef i denerwował się jeszcze bardziej.* A koledzy z pracy widząc — nie ukrywamy zresztą — stosunek szefa do Jana, pokpiwali sobie z milczącego, mało zaradnego kumpla, napuszczali go,

Zakaz pracy na zmianie nocnej. Konieczny uregulowany tryb życia i dobre stosunki w pracy. Skorzystał z tego szef: postawił Łazarza do dyspozycji kadr uznając, że zalecenie lekarza uniemożliwia pracę rekonwalcenta w dziale głównego mechanika. Ale przyzwyczajone do podobnych sztuczek kadry nie dały się wywieść w pole. Zakwestionowały zasadność wniosku zalecając inżynierowi W. głównemu mechanikowi, skierowanie Łazarza na „leższy” wydział i zakazując zatrudnienia go na trzeciej zmianie.

„Nowy” (już czwarty) wydział nie był wcale lekki: obróbka cieplna, a więc wysokie temperatury i hałas. Bezszywnie spełniając swoje obowiązki zakładowa służba lekarska już po miesiącu podważyła tę ostateczną decyzję, 24 lipca br. komisja orzekła: *Przenieść poza hałas, zapylenie i wibrację.*

Obiektywnie trudno nawet się dziwić, że wszyscy są już trochę zmęczeni sprawiającym tyle kłopotów pracownikiem. Tym chyba wypada tłumaczyć, że w kadrach zwoluje się komisję w sprawie rozpatrzenia wniosku lekarskiego dopiero 10 września, na dobrą sprawę o całe dziesięć miesięcy za późno. Ale tym razem decyzja, chociaż lakoniczna, jest konkretna i ludzka: przenieść Łazarza do mechanika na wydział montowni podzespołów. Tyle, że decyzja ta już nie jest w stanie niczego naprawić — spr-

wy zaszły zbyt daleko. Oto główny mechanik zakładu przekazuje do działu kadr kolejną informację, w której stwierdza, że *Ob. Łazarz nie potrafi wykonać prac zaszerogowanych w IX grupie.* I tym razem trudno się dziwić autorowi informacji, inżynierowi W.: takie opinie przekazał mu przecież wszyscy bez wyjątku wydziałowi zastępcy, u których Łazarz pracował. A fabryka, to nie przytułek dla przeważliwionych, plany rosłą z każdym rokiem, maszyny muszą być sprawne, chodzi przecież o wspólny interes tysięcy ludzi, o całą zalogę.

I w ten sposób Jan Łazarz, człowiek zamknięty w sobie, który (poza swoimi obrazami i rzeźbami) w ciągu trzydziestu dwu lat nie odnalazł jakoś prostej drogi do ludzi — nadal pozostał sam, a właściwiej został skazany na samotność. Zbędny patos, powie ktoś. Obawiam się, że przeciwnie — niezbędny. Oto co Łazarz pisze w cytowanym na wstępie podaniu do dyrektora: *Na montowni też tak samo, np. nie dali mi narzędzi, jak remontowałem frezarkę, aż przez 5 dni. Albo rozebrałem maszynę do remontu, to mi pokradli części, przez złość, bo tak byli nastawieni. Nie lubili mnie, bo się do nich nie nadałem, kielicha nie postawiłem, do knajpy nie poszedłem. I powiedział mi na montowni, że mnie nie chcą, bo nie potrafię robić. A ja mam przecież IX grupę, na egzamin kwalifikacyjny mogę iść zawsze, mam dyplom mistrzowski. Więc byłem rozgoryczony i poszedłem do kadr i się zwolniłem. Zle zrobiłem że się zwolniłem, ale Pana Dyrektora nie było wtedy, bo był pan za granicą, to co ja miałem robić, gdzie iść po pomoc?*

Rozmowy z byłymi przełożonymi i współpracownikami Łazarza w zasadzie nie wniosły nic nowego do jego „sprawy”.

— Redaktorze, to zakład, no nie? Tu się robi, i to w tempie. Kto nie zdąży, musi odpasć!

— Owszem, rękę podać trzeba drugiemu człowiekowi. Ale z nim nie sżo jakos, dziwny on jakiś taki. Ani żeby otworzył, ani pogadać po ludzku.

— Panie, jemu to rzeźby tylko w głowie, a z rzeźby chleba nie będzie. Niektórzy dawni współpracownicy machali z rezygnacją ręką lub wręcz czynili niedwuznaczne gesty w okolicach głowy.

Pomyślałem sobie wówczas, że przecież — pomijając niekiedy kanciastą formę i chropowatość, by nie rzec: brutalność — trudno większości tych ocen odmówić racji ogólnych. Ale z drugiej strony — Łazarza spotyka krawiwd, Bolesna krawiwd. Nieważne przy tym czy przez kogoś zamierzona, czy stanowiąca tylko spójny tw. obiektywnych okoliczności. Ważne, że sam Łazarz nie tu nie zawił, a mimo to musi cierpieć, skazany i pozostawiony samemu sobie. Przecież jego nieprzystosowanie, jego kompleksy, trudna wymowa, mrukliwość wreszcie i z pozoru zupełnie do tych cech nie przystająca naiwność — to w końcu wypadkowa przeszłych i teraźniejszych, zdarzeń, piętno odcisnięte na jego losie i świadomości przez historię.

Ważne nade wszystko, że w każdym niemal zakładzie można

Dokończenie na str. 9

Nie straszmy maluczkich!

Aleksander Duniewicz

Mój wewnętrzny sprzeciw zrodził się przed laty, kiedy to, skądinąd kulturalna osoba, opowiedziała mi z rozbrajającą szczerością o sposobach usypiania pięcioletniego synka. W toku jej wywodu okazało się, że najlepiej, jako środek nasenny, skutkuje postać milicjanta. Życie, jak z tego widać, poszło szybko naprzód. Tradycyjny ongiś kominiarz stał się dziś anachronizmem. Zaproponowałem wówczas owej pani, aby zaopatrzyła się w największy rozmiar butów milicyjnych i postawiła je przy łóżeczku, a jeśli one nie będą dość skutecznie straszyć, to żeby koniecznie dostala gdzieś helm milicyjny, który może stanowić bardziej radykalny środek nasenny dla synka. Nie wrócałbym może do tej sprawy gdyby nie fakt, że na jednej z sesji MRN usłyszałem tego typu wezwanie z trybuny: „Nie możemy dać rady z różnymi łobuzami w dzielnicy! A co robi nasza milicja?”

Zanim spróbuję odpowiedzieć temu płomiennemu oratorowi, chciałbym uprzednio skierować własnie do niego pytanie: a co obywatel uczynił w tej kwestii? Bo jeśli np. ja nie mogę sobie poradzić z dość rozbrzykanym trzynastoletkiem, to ostatecznie mógłbym udać się do komendanta miasta z prośbą o jednego stalego opiekuna dla tegoż urwopocia. Ale co dalej? Ja mam bowiem trzech synów. Myślę więc, że nie pomogłoby tu podanie napisane nawet na papierze kredowym i to w formacie B1. A

poza tym trzech milicjantów w jednym domu to już chyba lekka przesada. Korzystam więc w miejsce tego z dość bogatego arsenału środków domowych i w razie konieczności uruchamiam je z całą odpowiedzialnością.

Muszę jednak przyznać szczerze, iż swego czasu rozmawiałem z komendantem, prosząc go o pomoc w przywróceniu porządku publicznego na mojej ulicy, który był dość regularnie zakłócany przez element w wieku przedpoborowym i niżej. Otrzymałem wówczas odpowiedź, że sprawa ta powinna przede wszystkim interesować mnie osobiście oraz takich jak ja obywateli tam zamieszkałych. Ponieważ uznałem tę odpowiedź za słuszną, rozważyliśmy ją następnie w gronie co szanowniejszych obywateli dzielnicy i uruchomiliśmy świetlicę dla młodzieży. Dzisiaj służy ona jej z dość dużym pożytkiem, a przy okazji przyczynia się także do wprowadzenia większego ład publicznego w naszej dzielnicy. Podobnie zresztą postąpiono i w innych rejonach Lublina. M. in. przy al. PKWN, gdzie społeczna rada klubu dzielnicowego potrafiła, w ramach własnych, nie tylko oczyścić okolice z elementu chuligańskiego, ale wytworzyła tego typu atmosferę, w której owi młodzieńcy stali się niepopularni. Ostatnio dowiedziałem się, że pewne grono entuzjastów młodzieży i dzieci zorganizowało w Lublinie Dziecięcy Klub Przyjaciół Filmu. Osobiście rokuje mu dobry rozwój.

Można więc chyba postulować, idąc po myśli komendanta MO, aby co poważniejsi obywatele naszego miasta, zamiast wygłaszania plo-

miennych oracji, sami zajęli się bliżej młodzieżą ze swojej ulicy i współdziałali w odciągnięciu jej od kiosków z piwem. Byłoby to w pełni zasłużone „świadectwo dojrzałości” ojców i dziadków naszego grodu. Poszukujemy więc pilnie entuzjastów młodzieży, która waleśa się bezdomnie po ulicach Lublina, a która przecież ma swoje określone potrzeby i to wciąż wrastające.

Jechałem niedawno do Warszawy. W przedziale przypadło mi sąsiedztwo z nobilitnie wyglądającym starszakiem. Było to jednak wrażenie pozorne, albowiem po chwili sąsiad mój wypełnił przedział okrzykami w rodzaju: „Chuligan! Łobuz! Pałki policyjnej na takiego i lać ile wlezie!” Okazało się, że starszulek został potrącony w czasie wsiadania do pociągu przez jakiegoś nastolatka. Kiedy skromnie zauważyłem, że nie policyjne, ale milicyjne pałki, obruszył się jeszcze bardziej i wy-palił: „panie, jaka to różnica? Tamta policja posiadała przynajmniej autorytet. Jej się chuligani bali!”. „Szkoła — odpowiedziałem — że nie czyta pan książek, które piszą milicjanci. Ostatnio ukazał się interesujący pamiętnik sierżanta MO, dzielnicowego z Warszawy, pt. „Banda Siwego”. Radzę koniecznie przeczytać. Zrozumie pan wówczas, że strach nie jest najlepszym budowniczym autorytetu”.

Nieraz, słuchając wywodów publicznych lub wyrzuczeń prywatnych o większą ingerencję MO w życie młodzieży, dochodzę do wniosku, że wielu z nas nie zdaje sobie sprawy z roli i zadań naszej ludowej milicji. Po prostu nie znamy współczesnej sylwetki funkcjonariusza MO. Prawda jest, że musi on podejmować, często z narażeniem własnego życia, walkę z bandziorami oraz różnego rodzaju, kalibru i maści przestępcami gospodarczymi. Ale to przecież tylko część prawdy. Milicjant bowiem jest jednocześnie osobą, na której barkach spoczywają dziesiątki innych, różnorodnych obowiązków i funkcji opiekuńczych. Zadaniem

jego jest więc nie tylko ściganie przestępców. Wykonuje on także wiele akcji profilaktycznych i wychowawczych. Ież np. rozmów umoralniających przeprowadzają każdego dnia milicjanci z rodzicami, iież załatwiają miejsc pracy dla młodych ludzi, którzy weszli w kolizję z prawem, iilu wagarowiczów doprowadzają do szkoły i domu rodzicielskiego! Któż z nas jest w stanie to zliczyć?

A przy tym czynności te stanowią wciąż jeszcze tylko fragment tych obowiązków, które nasi milicjanci codziennie wykonują. Dotyczy to m. in. współdziałania ze szkołą, harcerstwem, komitetami blokowymi, zakładami pracy, społecznymi komitetami przeciwalkoholowymi itp. Z pewnością nie wszyscy czytelnicy np. wiedzą, że wielu milicjantów nosi honorowe odznaki „Przyjaciela Dziecka”, nadane im przez Towarzystwo Przyjaciół Dzieci. Warto więc czasami przeczytać książkę, którą napisał sierżant MO. Uczy ona o wiele więcej, aniżeli specjalistyczne referaty ploszone na forum publicznym. Pozwala ona przede wszystkim poznać prawdę o inności naszej ludowej milicji, ukazuje funkcjonariusza MO jako człowieka, któremu nie obce są wszelkie uczucia ludzkie. Po przeczytaniu „Bandy Siwego” sam zupełnie innymi oczyma spojrzalem na dzielnicowego z mojej ulicy. Jestem pewien, że podobnie jak sierżant Mieczysław Bzdrya — autor pamiętnika, nie cieszy się on znów tak bardzo, jak by się nam to wydawało, z faktu doprowadzenia do prokuratury osoby zatrzymanej.

Wiedziałem kilka dni temu, jak mój dzielnicowy grał w szachy w klubie osiedlowym z kilkunastoletkiem, o którym mówiono nie tak dawno, że jest to bardzo trudny chłopiec. Przyglądałem się partii, była bardzo interesująca.

Dlatego też nie warto chyba, proszę kulturalnej pani, straszyć milicjantem własnego synka. Czas bowiem szybko ucieka, dziecko niebawem dorosnie i może z powodze-

nem stać się nowym partnerem szachowym dla emerytowanego do tego czasu dzielnicowego MO.

Pozwólm więc zagrać im wspólną partycjkę szachów.



Fot. A. Węgrzyn

Dwie kurierki

Mirosław Derecki

W historii oddziału majora Hubala (Henryka Dobrzańskiego), który we wrześniu 1939 r. nie złożył broni i jeszcze przez siedem miesięcy walczył na Kielecczyźnie z Niemcami, przewijają się postacie dwóch kurierek — Ludki i Gieni. Oto szersza informacja o nich.

DZIEWCZYNA na fotografii to Ludka Zero. Jest słoneczny, letni dzień. Ludka stoi oparta o balustradę pensjonatu. Zdjęcie zostało zrobione w 1938 r. w Cannes, gdzie młoda studentka, po zaliczeniu pierwszego roku na wydziale ekonomii WSH w Warszawie, przebywała na młodzieżowym obozie językowym. Jej serdeczna przyjaciół-



Ludka Zero. Cannes, 1938 r.

ka jeszcze z czasów szkolnych, Gienia Ruban, studiująca nauki polityczne i biologię, została w kraju. Więc radość Ludki jest niepełna.

Jak to najczęściej bywa, wszystko wynikało z przypadku. Przypadek bowiem sprawił, że w ósmej klasie gimnazjum Elzy Łabusiewicz-Majewskiej na Pradze nauczycielka posadziła świeżo przybyłą z miejscowości Horyń na Wołyniu uczennicę obok Ludki Zero. "Panienska z prowincji" czuła się zagubiona w obcym mieście, toteż z miejsca przygłębna do obojętnej w "wielkim świecie" warszawianki, która zresztą sama pochodziła z wielce prowincjonalnych, podwarszawskich Zabek. Pomiędzy Ludką Zero i Gienią Ruban nawiązała się przyjaźń.

Ludka miała unormowane życie rodzinne, w Zabkach był dom, w którym miała swoje miejsce i w którym czuła się otoczona opieką i serdecznością. Rodzice Gieni rozeszli się. Dziewczyna mieszkała wprawdzie z matką, ale matka uczucia swoje dzieliła pomiędzy córkę i drugiego męża, kapitana Wojska Polskiego. Gienia wychowywała się więc w warunkach nielubianych, była zahartowana na przeciwności losu i dlatego, choć początkowo poddawała się osobo-

wości Ludki — poprzez którą, być może, szukała zbliżenia z ciepłym życiem rodzinnym — potem, gdy nastały czasy wojenne, ona właśnie zaczęła przewodzić.

Niedługo przed wybuchem wojny dziewczęta zapisały się na kursy pielęgniarstwa PCK i to był właśnie pomysł Gieni. Podczas oblężenia Warszawy i przez pierwsze miesiące okupacji obie dziewczyny pracowały jako sanitariuszki w szpitalu św. Ducha, pełnym rannych w czasie kampanii wrześniowej żołnierzy. Tutaj nastąpiła pierwsza próba siły i odporności psychicznej. Przeszły ją dobrze, choć Gienia okazała się o wiele bardziej odporna. Oздrowieńcy kolejno wypisywali się ze szpitala, a potem przysłała pierwsza okupacyjna zima. Ruch podziemny był dopiero w pierwszym stadium organizacyjnym.

W Warszawie przy ulicy Filtrówkiej mieszkał znajomy Gieni, pan Kargol. W 1939 roku syn Kargola został powołany do wojska, brał udział w kampanii wrześniowej i... wszelki śluch o nim zaginął. Ojciec miał pewne podstawy, aby sądzić, że syn nie został zabity i jeszcze nikt nie kręcił się po Kielecczyźnie z jakimś oddziałem wojskowym, który do tej pory nie złożył broni. Wzięli się one stąd, że w końcu 1939 roku ktoś pokazał mu zdjęcie grupy owych żołnierzy z Kielecczyzny, a w jednej postaci Kargol dopatrzył się podobieństwa z synem.

Nasuwa się od razu pytanie, skąd zdjęcie takie mogło już pod koniec 1939 r. znaleźć się w Warszawie? Oto w tym okresie pojawił się w stolicy najpierw porucznik Iljin z oddziału Hubala, który cierpiał na ischias i został zwolniony na leczenie, potem przyjechał podchorąży Galko z zapaleniem płuc, wreszcie w grudniu był w Warszawie sam major Hubal, który pod przybranym nazwiskiem Chrzaszczewskiego szukał kontaktów z pierwszymi władzami konspiracyjnymi. Znał jest "zaciecie" hubalczyków do fotografowania się całymi grupami, bez zdawania sobie sprawy, jakie to może mieć konsekwencje w wypadku dostania się zdjęć w ręce hitlerowców¹. Tak więc jest zupełnie prawdopodobne, że Kargol mógł jedno ze zdjęć oglądać.

Tonący brzytwy się chwytają, więc i zrozpaczony ojciec postanowił wyjaśnić męczącą go niepewność. W grudniu wybrał się do klasztoru filipińców w Poświętnem, oni bowiem — jak wypełniali — mieli kontakt z wojskiem. Pojechał z Gienią Huban, która zainteresowana całą sprawą, nie dala sobie tej podróży wyperswadować. Kargol dotarł do oddziału obozującego w okolicach Poświętnego, ale syna w nim nie odnalazł. Gienia pozostała w klasztorze i nawet zobaczyła owych żołnierzy. Jednak ta podróż zdecydowała o jej dalszej działalności. I w tym miejscu zbacza w niewiadome historię pana Kargola, rozpoczyna się zaś główny nurt historii dwóch kurierek Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego — Ludki i Gieni.

Gienia wraca do Warszawy pełna pomysłów i planów. Całymi dniami krąży po mieście, odnawia przedwojenne znajomości z rodzinami wojskowych, opowiada o żołnierzach, którzy koczują w prymitywnych warunkach w lasach za Pilicą. Nawiązuje łączność z dawnymi członkami Przystosobienia Wojskowego Kobiet i z harcerstwem. Zdobywa jakieś zaświadczenia, że jest osobą, której można wierzyc. Oczywiście wciąga do współpracy Ludmiłę.

Pewnego dnia, już po Nowym Roku 1940, obie dziewczyny, z pustymi jeszcze tym razem rękoma, ale pełne najlepszych chęci, wśladają na dworcu Warszawa-Południe do wąskotorowej kolejki, która długie godziny wleczę się do Nowego Miasta nad Pilicą. Stąd dostają się do wioski Poświętne. Docierają do klasztoru późnym popołudniem. Są głodne i zmarznęte na kość. A tam witają ich z otwartymi ramionami, ufnie, serdecznie. To jeszcze nie te czasy, kiedy ludzie nauczyli się być ostrożni. W klasztorze filipińców jest poznany przez Gienię podczas poprzedniej wyprawy młody ksiądz², który obiecał skontaktować dziewczynę z hubalczykami.

Wieczorem we troje ruszają w ciemność. Jadą polnymi, zawiłymi ścieżkami drogami, potem gęstym lasem. Mróz też, ale podróż upływa przyjemnie. Gienię chroni przed zimnem porządna pelisa, Ludka siedzi zakutana po czubek nosa w ogromną, podbitą futrem burkę przeora filipińców. Gdzieś przed nimi mit o przystojnych kawalerzys-



Kurierki Ludka i Gienia wśród Hubalczyków. (Siedzą w centrum grupy). Galka Krzczonowska, luty lub marzec 1940 r.

Zbiory i repr. J. Sekulak

tach, bohaterach. Jeszcze kawalek drogi i oto na leśnej drodze migają ciemne sylwetki ludzi, przez pnie sosen przebijają blask ogniska. To patrol hubalczyków. Książd podaje hasło, jadą dalej. Chwila ogromnego wzruszenia. Las rzednie. Sanie wyjeżdżają na otwartą przestrzeń. Widać wiejskie zabudowania z oświetlonymi oknami, kręcących się żołnierzy w polskich mundurach. I to jest koniec PRZYGODY dwóch warszawskich panienek. Za chwilę zetkną się z rzeczywistością. Zobaczą zmęczonych, walczących ludzi, których gnębił choroba i robactwo, którzy zesłali z obrazka do lasu. Właśnie dla takich będą od tej pory ryzykowały głową.

Z tego pierwszego spotkania z oddziałem Ludka zapamiętała niewiele. Tyle, że znalazły się z Gienią w wiejskiej izbie (najprawdopodobniej było to we wsi Stefanów), w której stał odbiornik radiowy, a przy nim siedzieli dwaj oficerowie. Byli to: major Henryk Dobrzański (Hubal) i jego szef sztabu porucznik Feliks Karpiański (Korab). Hubal wydał się Ludce bardzo poważny, wręcz groźny, ale bardziej odważna Gienia wdała się z nim w rozmowę. Ludka rozmawiała z umiającym w sposobie bycia Korabem. Nie wiadomo kiedy poczuła się jak by od dawna zrośnięta z oddziałem, zrozumiała, że jest wśród ludzi, którzy po prostu... walczą. I że trzeba walczyć razem z nimi. Mniej pozytywnie i serio myślał tego wieczoru o dziewczętach ich rozmówcy. Jak im kiedyś potem powiedzieli — byli przekonani, że kandydatki na kurierki więcej się w lesie nie pokażą.

Mylili się. Gienia i Ludka spisały sobie listę najpotrzebniejszych dla oddziału rzeczy i... po kilku tygodniach zjawiły się znowu z dwoma wypchanymi walizkami. Odtąd przyjeżdżały, regularnie co 2—3 tygodnie, doskonale wywiązując się z powierzonych im zadań.

Pierwszy etap podróży przebywały zawsze w ten sam sposób. Jechali kolejką do Nowego Miasta. Tam czekali już na nie wysłannicy Hubala. Najczęściej byli to współpracownicy z oddziałem chłopci. Ale raz żołnierzy poniosła fantazja i przyjechali po Gienię i Ludkę sami; pełne sanie młodych, uzbrojonych mężczyzn, w polskich mundurach oczywiście, bo "cywilów" w swoim wojsku major nie tolerował. Tyle, że okryli te mundury wielkimi chłopskimi kożuchami.

Dziewczęta wytaskiwały z kolejki walizy — które nierzadko pomagali im przedtem wkładać na półki niemieccy oficerowie — i zaczynała się jazda przez odłuzia do miejsca postoju oddziału. Czasem po drodze wypadają zatrzymać się na punkcie etapowym. Były nimi dom sołtysa Wojakowskiego ze wsi Rzezczyca albo dwór Szwajcerów w tejże wsi.

Sam pobyt w oddziale trwał zwykle krótko. Był witanie owacyjnie, ale zaraz po oddaniu przywiezionych lekarstw, amunicji, mundurów, "bibuły", musiały wymyknąć się ze wsi czy leśniczówki, gdzie kwatrował oddział, bo Niemcy stale krecili się w pobliżu, a od końca marca 1940 r. zaczęli już deptali Hu-

balowi po piętach. Jeszcze w Galkach Krzczonowskich był spokój, ale już pod Szalasami — gdzie też dotarły — oddział walczył w okraśnieniu i major zrugnął je na pół po ojcowisku, a na pół po żołniersku, że niepotrzebnie ryzykują życie.

Ostatni raz widziały się z Hubalem w przeddzień jego śmierci. 29 kwietnia odnalazły oddział zdziśiatkowany, już tylko w dwadzieścia parę koni, już znowu, jak przed kilku miesiącami, w gęstym lasów spalskich. Pierścien niemieckiej oblawy zacierał się, hubalczyków tropiły aż dwie dywizje. Oni sami unikali włosów nie chcąc narażać ludności na represje. Jak w grudniu 1939 r. koczowali pod szalasami przy tlejących ledwie ogniskach. Major był już nie ten sam, co kiedyś. Zmarniał, opuściła go zwykła wesołość, nachodziły go myśli o rychłej śmierci. Spodziewana wiosenna ofensywa francuska dotąd nie nastąpiła. Dowództwo Okręgu ZWZ w Kielcach groziło sądem polowym za nierozwiązanie oddziału. Z wojska, którym dowodził w Galkach Krzczonowskich, pozostała przy nim niemal jedna piętnasta część żołnierzy. Trapiły go wyrzuty sumienia (niesłusznie zresztą, jak się dzisiaj uważa), że jest odpowiedzialny za śmierć kilkuset chłopów wymordowanych przez hitlerowców w Galkach Krzczonowskich, Hucisku, Skłobach i Szalasach po bytności oddziału w tych wsiach. Sprawił wrażenie człowieka zalamanego.

Przyjazd Ludki i Gieni był ostatnim chyba radosnym momentem w życiu Hubala. Rozgadał się wówczas na dobre, wspominał młodość, opowiadał o swoim życiu, które niemal w całości spędził w wojsku. Ale co pewien czas uparcie wracał do tematu rychłej śmierci. Dotąd kule ocieraly się o niego. Kiedyś — mówił — jedna przebiła mu czapkę, innym razem — cholewę buta. Następna nie puści już żywego. Według relacji Adeli Tozko z Sopotu, córki sołtysa Wojakowskiego, również ona z matką były owego dnia w obozowisku hubalczyków. Przywiozły słodki placek, który upiekła specjalnie dla majora pani Wojakowska, zabawiły niedługo i wcześniej odjechały do Rzezczyca. Gienia i Ludka przywiozły wówczas m. in. buty z cholewami dla majora od słynnego warszawskiego szewca. Te buty miał na nogach, kiedy się z nim żegnały, i w tych butach następnego dnia — niemal przypadkowo — został zabity na skraju lasu pod wsią Anieln.

Po rozstaniu się z hubalczykami dziewczęta pod opieką znanego gajowego kłuczka długo lasami, kierując się w stronę Pilicy. Z głębi lasów dochodziły odgłosy strzelb. W ciemności o mały włos nie wpadła na oddział niemiecki. Są zmęczone i wystraszone. Bezmyślnie taszcza ze sobą cztery puste walizki, które żal było zostawić bo... były w dobrym stanie. Wreszcie dochodzą do Pilicy, ale nikt nie chce zaryzykować przetrwania. Dookoła pełno Niemców. Wreszcie lituje się nad nimi jakiś młody chłopak, przewozi je łódką. Na ranem dochodzą do Rzezczyca, do Wojakowskich.

Hubal zginął, ale wielu hubalczyków pozostało przy życiu. Wkrótce do rodzinnego domu Ludki w Zabkach pod Warszawą przybywają Świda, Ossowski,

Brejer, Szymański, Jest i Tereska, pierwsza dziewczyna — partyzant w tej wojnie. Oddział powinien istnieć nadal. I wtedy ktoś wpada na pomysł, żeby powierzyć nad nim komendę... bytemu dowódcy majora Dobrzańskiego. Jest taki, ukrywa się w Krakowskim, Więc Ludka Zero jeszcze raz wyrusza w podróż jako kurierka. Doiera do majątku Czaple Wielkie, gdzie dostaje adres owego byłego dowódcy. Wsiada na rower i jedzie do niego³. Wracając do Czapli Ludka przewraca się z rowerem, nadrywa się w nodze. Z trudem dobiega z powrotem do Warszawy.

Ten wypadek rowerowy to kolejny zbieg okoliczności, który zaważył na dalszych losach Ludmiły Zero. Wkrótce w domu Ludki pojawił się Świda i przekazał jej rozkaz władz konspiracyjnych ZWZ, aby natychmiast wyruszyła jako kurierka do Wilna⁴. Ze względu na stan nogi rozkaz ów nie mógł być wykonany. Zamiast Ludki pojechała więc Gienia Ruban. I potem już stale kursowała na trasie Warszawa — Wilno. Dwa razy przyłapaną przez Niemców, cudem tylko wydostawała się na wolność.

Gienia była niezwykle odporna psychicznie, ale nawet ostatnich przeżyć zalał ją. Bała się następnej podróży do Wilna. Ostatni raz Ludka widziała Gienię w przeddzień kolejnego jej wyjazdu. Przegadały wówczas wieczór i całą noc. „Nie możesz się tak bez przerwy narażać — mówiła przyjaciółce. — Musisz poprosić na pewien czas o urlop. Powiedz im prawdę, że w tej chwili jesteś skończona”. Gienia nie chciała nawet słyszeć o czymś podobnym. Panicznie bała się posądzenia o tchórzostwo. Rano pożegnała Ludkę i zgłosiła się po rozkaz. Pojechała do Wilna i tym razem już nie wróciła. Na punkcie etapowym w Białymstoku zademonstrowała ją — i jeszcze drugą kurierkę — granatowy policjant. Wkrótce Niemcy rozstrzelali w Białymstoku grupę więźniów. W grupie tej była także Gienia Ruban. Na śmierć szła odważnie. Kiedy pluton egzekucyjny zarepetował broń, zerwała z oczu opaskę.

Od śmierci Gieni Ludka mało już udzielała się w konspiracji. Kontynuowała studia ekonomiczne w Miejskiej Szkole Handlowej, która miała poziom wyższej uczelni. Po wojnie zajęła się także studiami muzycznymi.

Bywają różne spotkania po latach. Do najprzyjemniejszych należą chyba te, gdy dla spotkanego przez nas człowieka jawimy się nagle bez balastu czasu, który upłynął. Czasem jedno słowo, jedno zdanie, i na moment opadają z nas wszystkie tytuły, osiągnięcia zawodowe i powaga, jakie gromadziły się w nas z biegiem lat. Dla warszawskiej profesorki muzyki, pani Ludmiły Zero, taki moment nastąpił na pierwszym, stosunkowo niedawnym zjeździe hubalczyków. Podszedł do niej wówczas jakiś starszek, chłop, przyjrzał się uważnie i zagadnął: „Pani to jest kurierka Ludka. A pamięta pani jakżeśmy raz nocą jechali do oddziału i sanie nam się w lesie rozsypany, a myśmy się balli wilków? Jezusie, jak pani wtenczas klepa!”

To była właśnie ta chwila, kiedy profesorka znowu poczuła się kurierką Ludką.

Mirosław Derecki

¹ Np. w 1944 r. Niemcy przestuchując leśniczego z Bielaw Józefa Żulikowskiego dysponowali wcale obszernym „serwisem fotograficznym” z oddziału Hubala.

² Najprawdopodobniej Ludwik Mucha, który wkrótce został kapelanem oddziału mjr Hubala.

³ W efekcie, oficer ten odznosił się od angażowania w sprawy hubalczyków, choć na miejsce zbiórki oddziału przybył.

⁴ Gienia i Ludka jak część żołnierzy Hubala działały już w owym czasie w „legalnej” robocie konspiracyjnej — MD.

Ernesto Che-Guevara

Canto

Fidelowi

Pójdźmy, płomienny proroku jutrenki, niezagrodzoną ścieżką, czy drogą nieznaną, aby uwolnić zieloną jaszczurkę, którą tak kochasz.

Pójdźmy, gromiąc nieszczęścia, złożony przysięgę, z twarzą pełną marsowych zbuntowanych gwiazd, że osiągniemy tryumf lub każdy polegnie.

Gdy zabrzmiał pierwszy wystrzał i cały las wstanie, w odwiecznym strachu przecierając oczy, wtedy u twego boku do walki stanę cała nasza gromada.

Kiedy głos twój osiągnie wszystkie cztery wiatry: reformę rolną, wolność, sprawiedliwość, chleb, my myśląc tak samo staniemy do walki przy twym boku.

I gdy skończy się wojna przeciwko tyranii i nastanie dzień źródeł, chwila oczyszczenia, przy tobie zostaniemy pewni, że przyjdzie ostatni bój.

W dzień kiedy bestia zacznie lizać rany zadane jej ostrzami nacjonalizacji, przy twoim boku nasze serca staną, będziemy z tobą.

Nie sądz, że te uczucia ugrzęzną po drodze gdzieś w chwytajnych zaroślach słomianego ognia ale skala zapału potrzebna jest jak karabin. I tylko tego chcemy. Jeśli na naszej drodze wzniesie się żelazo, chcemy otrzymać calun z rąk płaczących kobiet, żeby czymś przykryć kości partyzantów i zmienić bieg historii. Tylko tego chcemy

Meksyk 1956

Przełożył: Andrzej Tchórzewski

„Dekonspiracja“ emisariusza

Rozmowa z min. Antonim Bidą

Dokończenie ze str. 1

dycjami wojskowymi i policyjnymi — oczywiście rosyjskimi. Drugi fakt: właśnie tu narodził się wielki, radykalny ruch chłopski, związany z najbardziej popularnym wówczas wśród chłopów tygodnikiem „Zaranie”, którego przewodziła Irena Kosmowska, więźniarka, sanacji i hitleryzmu. Trzeci fakt: Lublin ze względu na nowożytny przemysł, obsługujący zresztą głównie wielkie ziemianstwo, był trzecim co do wielkości miastem w Kongresówce (po Warszawie i Łodzi).

— Niestety rewolucja 1905 r. nie przyniosła pożądanego rezultatu.

— Tak, ale dała pewne realne zdobycze, nieco swobód politycznych i kulturalnych. To przecież w Nałęczowie z inicjatywy Zeromskiego narodziła się pierwsza instytucja kulturalna tej ziemi — towarzystwo „Światło”, zwalczające zresztą, podobnie jak „Zaranie”, przez ziemianstwo i hierarchię kościelną. W niewielkim przecież Lublinie powstały aż trzy dzienniki w języku polskim: endecko-ziemiański „Głos Lubelski”, mieszczański „Ziemia Lubelska” i lewicujący „Kurier Lubelski”. Także zdobywcą rewolucji było powstanie polskiego prywatnego szkolnictwa średniego. Te właśnie szkoły do wybuchu pierwszej wojny światowej dawały całą plejadę wybitnych działaczy politycznych, społecznych, naukowych, legionistów, literatów, publicystów.

— Duża w tym była zasługa ówczesnych nauczycieli. Może kilka nazwisk?

— Członek PPS Władysław Kunicki i jego dwie siostry, Józefa i Waleria, inż. Oktawian Zagrobski, pani Kunciewiczowa (matka męża Marii Kunciewiczowej), Mikołaj Krylenko — późniejszy organizator Armii Czerwonej, Mikołaj Czerluniewicz — późniejszy komisarz sprawiedliwości ZSR, Antoni Remiszewski — członek SDKPiL, późniejszy wojewoda lubelski z okresu gabinetu Bartla, zdymisjonowany w 1929 r. za opór przeciwko aresztowaniu Kosmowskiej i wielu innych.

— Ich postępowe, często rewolucyjne poglądy musiały odpowiednio wpływać na młodzież. Ale przecież były wśród nauczycieli także inne tendencje, nie można też pomijać wpływu domu rodzinnego.

— Oczywiście. Wytworzyły się też trzy organizacje młodzieżowe: Organizacja Młodzieży Postępowej — mająca swoją twierdzę głównie w gimnazjum im. Staszica, Organizacja Młodzieży Narodowej i Organizacja Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej. Pierwsza wydała wielu socjaldemokratów, późniejszych komunistów, druga — licznych działaczy typu zachowawczego, trzecia — wielu pilsudczyków, legionistów i socjalistów. Niemal równocześnie z wybuchem wojny

Młodzieżowa Organizacja Młodzieży Postępowej przekształcała się w organizację SDKPiL, w czym niezwykle dużą rolę odegrał Witold Tomorowicz (jego bratanek jest obecnie ambasadorem PRL przy ONZ). Komórka SDKPiL szybko obrabiała w akty robotnicze. Prawie w tym samym czasie powstała organizacja PPS-Lewica, która miała swoją bazę w Lubelskiej Spółdzielni Spożywców, a z jej przywódców należy przypomnieć Jana Hempla, Bolesława Bieruta, inż. Oktawiana Zagrobskiego, dr. Jana Łazowskiego, inż. Bolesława Giliczyńskiego. Tego, że obie partie w grudniu 1918 r. połączyły się w Komunistyczną Partię Robotniczą Polski, nie potrzebuję chyba przypominać.

— Mamy więc dość szeroką panoramę ówczesnych stosunków. Czas umieścić w tej panoramie mojego rozmówcę...

— Urodziłem się w Ostrowie Krupskim, wsi leżącej między Krasnymstawem a Rejowcem, w rodzinie późniejszych „Zaraniarzy”. Do dziś pamiętam słyszane od najmłodszej młodzieży lokalne porzekadło o właścicielu majątku: król Jagiełło był Krzyżaki i pan Krupa chce być taki — próżno sili się nieboże, Krupa Jagła być nie może. Oczywiście, Krzyżaków nie było od kilkuset lat, tu chodziło o służbę folwarczną i chłopów. Sens tego powiedzenia był dla mnie, obok elementarza, szkołą podstawową w dziedzinie politycznej. Potem właśnie gimnazjum Staszica, gdzie mogłem uczyć się dzięki pomocy finansowej szkoły i kolegów. Byłem jednym z działaczy Organizacji Młodzieży Postępowej, chłonną chęcią to, co przekazywali nam postępowi nauczyciele, uzupełniając wiadomości lekturą, dyskusjami, otwartymi oczami. Będąc jeszcze uczniem przemawiałem po raz pierwszy w 1916 r. na zebraniu robotników w Rusalce. Po maturze w 1917 r. zapisałem się na wydział prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, a jednocześnie podjąłem pracę wychowawcy i nauczyciela historii w powstającym w Hrubieszowie gimnazjum polskim. Wychowawcą i nauczycielem był Stanisław Ciesielczuk, członek „Kwadrygi”, zmarły na gruźlicę pod koniec wojny. No i może Antoni Bida byłby tam nauczycielem do dzisiaj, gdyby nie przeszkody wynikłe z jego temperamentu społecznego i związanego z tym dwukrotnego przymusowego pobytu w lubelskim Zamku oraz w Warszawie na Mokotowie.

— Zaraz, zaraz, to było dopiero w latach 1919—20. A mnie szczególnie interesują lata 1918—19.

— No cóż, w ówczesnej prasie polskiej mało pisano, a jeżeli to bardzo źle o tym, co się działo w Rosji po Rewolucji Październikowej. Ale ludzie mówili na ten temat bardzo dużo. Grupa wychowanków gimnazjum im. Staszica posta-

nowiła w czasie wakacji 1918 r. własnymi oczami zobaczyć kraj, który rodził się na gruzach imperium Romanowów. Mimo trwającej wojny i wciąż przesuujących się frontów... Było ich czterech: student Politechniki Warszawskiej Aleksander Zimh, zmarły przed rokiem w Lublinie Czesław Romanowski, uczestnik kampanii wrześniowej w grupie gen. Kleeberga — Henryk Kulesza, no i młody belfer hrubieszowski, Antoni Bida. Wędrowali bez paszportów i pieniędzy, łódką przepłynęli Bug, idąc nocami dotarli do Lucka, wreszcie do Kijowa, który wówczas był stolicą atamana Skoropadskiego. Od Kijowa do Orszy udawali jeńców rosyjskich powracających z niewoli — wszyscy znali dobrze język rosyjski. Przed wybuchem wojny czytali lub prenumerowali petersburską „Prawdę”. Wędrowali czasem pieszo, czasem na dachach wagonów. Od Orszy jechali już „lüksusowo”, bo pociągami osobowym, wewnątrz, a to dzięki pomocy ówczesnego komendanta dworca kolejowego w Orszy, lubelskiego kolejarza Franciszka Raczkowskiego.

— Chyba trudno było się urządzić w nieznanym Moskiewie?

— Wcale nie. Zostaliśmy bardzo serdecznie przyjęci w ówczesnym Komisariacie do Spraw Polskich, na którego czele stał Julian Leszczyński. Bardzo się tam interesowano najnowszymi wiadomościami o sytuacji politycznej naszego kraju, a także nami osobiście. W tymże sierpniu 1918 r. miałem okazję dwukrotnie widzieć z bliska Lenina i słuchać jego przemówień — raz na akademii w Teatrze Wielkim z okazji 4 rocznicy wybuchu wojny i drugi na wiecu w dzielnicy Zamoskworeczje do żołnierzy polskiego Pułku Warszawskiego, wyruszającego na front antykołczakowski nad Wolgę. Lenin porwał swoich słuchaczy nie oratorstwem, nie efektami głosu czy gestu. Każde swoje audytorium podbił nieodpartą siłą przytaczanych argumentów, genialną logiką swoich wywodów. Pod koniec sierpnia odbył w Warszawie wyjazd do Lublina, pełen entuzjazmu dla Wielkiego Października.

— Wtedy nie mogło już być mowy ani o studiach ani o nauczycielskiej, zresztą UJ został zamknięty, studentów zaś używano pod broń.

— No więc student Bida urwał się z Krakowa i jadąc dwie doby na dachu pociągu przybył do Lublina akurat na narodziny Rady Delegatów Robotniczych i Tymczasowego Rządu Ludowego. Oddaje się do dyspozycji partii i wchodzi w skład RDR.

— Jak wyglądała wasza pierwsza praca?

— Otrzymałem polecenie wyjazdu do majątku Wierchowiska pod Piaskami Lutuskimi. Już wcześniej w partii była delegacja służby folwarczej z żądaniem pomocy organizacyjnej w walce z dworem. Dotychczasowa roczna pensja folwarka wynosiła 200 koron, co nie starczało na kupno pary butów, oraz 12 metrów żyta rocznie na całą rodzinę. Byłem tam trzy dni, zapoznając się z sytuacją. Właściciel majątku znajdował się w areszcie domowym we własnym pałacu, zresztą dobrze traktowany i żywnością. Wyloniony został Komitet Służby Folwarczej dla zarządzania majątkiem. Jego zadaniem było m.

in. niedopuszczenie do podziału inwentarza żywego i martwego oraz gruntów dworskich pomiędzy okolicznych malarolnych. Nie dzielić ziemi, inwentarza i zbiorów pomiędzy chłopów — stało się hasłem całej Lubelszczyzny. Był to niewybaczalny błąd. Zamiast bowiem szukać silnego sojusznika w chłopstwie przez podział ziemi dworskiej, partia ograniczała swe siły do słabych jeszcze szeregów proletariatu miejskiego oraz fernali. Chcieli się wtedy przeskoczyć etap tworząc natchmiast z dworów socjalistyczne fabryki rolne. Proletariat tracił sojusznika, a dobrze zorganizowane burżuazji łatwo było przejść do kontrataku, czego przykładem stały się ekspedycje karne wojska z karabinami maszynowymi przeciw służbie dworskiej i malarolnym chłopom w powiatach lubelskim, krasnostawskim czy zamojskim.

— Tak więc znajdujemy się w przededniu powstania zamojskiego. Opinie na ten temat są dosyć różne i chyba można mieć pretensje do lubelskich historyków, że tych dramatycznych wydarzeń, tworzonych narodzin naszej niepodległości, dotychczas dokładnie nie odtworzyli. A w Zakładzie Historii Partii przy KC PZPR są na ten temat bogate materiały łącznie z kompletem akt śledztwa i procesu, który odbył się w Lublinie w 1919 r. Co możecie powiedzieć na ten temat?

— Gdzieś z początkiem grudnia do komitetu lubelskiego SDKPiL przyjechał delegat robotników z Zamościa z prośbą o przysłanie instruktora, który pomógłby założyć organizację partyjną. I właśnie ja zostałem wysłany. Uczestniczyłem w zebraniu, które odbyło się legalnie w mieszkaniu szewca Antoniego Albrechta, rewolucjonisty z 1905 r., b. członka PPS, który potrafił już zrzucić z oczu pilsudczykowską łuskę. Pod jego to przewodnictwem utworzona została dość liczna komórka SDKPiL. Drugi raz byłem na zebraniu w Zamościu po powstaniu KPRP. Była to już masowa organizacja. Instruktaż polityczny nie był trudny. Najpewniej brzmiał on następująco: twórcie silną Radę Delegatów Robotniczych, utrzymujcie kontakt z lubelską RDR. Wzorujcie się na Lublinie. W całym kraju toczy się zacięta walka o władzę. KPRP powinna pomnażać swe siły, a RDR należy przekształcać w ośrodek władzy.

O samym powstaniu zamojskim nie chcę się wypowiadać — nie byłem tam w tych końcowych, krytycznych dniach grudnia 1918 r., kiedy to w miejscowym 35 pułku piechoty zbuntowały się dwa bataliony, zresztą słabe liczebnie, i z bronią w ręku opuścili koszarę, przywdziewając czerwone opaski Gwardii Czerwonej. Była to akcja żywiołowa samych żołnierzy, którym przewodził młody, niedoświadczony kapral, ekslegionista Grabczak. Wypadki te zaskoczyły zarówno RDR jak i komitet partyjny. Bunt zamojski został krwawo stłumiony. W Zamościu aresztowano 350 ludzi, żołnierzy i robotników. Odbył się potem głośny proces przeciwko przywódcy Grabczakowi w sądzie wojskowym w Lublinie i przeciwko pozostałym oskarżonym w sądzie okręgowym w Zamościu. Grabczaka skazano na karę śmierci, zamienioną w drodze łaski na 10 lat więzienia. W śledztwie do tego procesu poszukiwano daremnie owego delegata z Lublina, który był

obecny przy narodzinach zamojskiego komitetu partyjnego i RDR w tym mieście. Szukałem go w Lublinie w marcu 1919 r. Ale on działał już w Radomiu jako okręgowiec KPRP.

W lutym tego roku pojechałem do Warszawy, aby wziąć udział w posiedzeniu krajowej rady KPRP. Na noclegu wpadłem w łapy defensywy. Nie wiadzano o mnie nagle mimo to znalazłem się w więzieniu mokotowskim — i tam właśnie bezpiecznie przebywałem, gdy szukano mnie w Lublinie. Po odbyciu trzymiesięcznego aresztu administracyjnego wypuszczono mnie w maju. Partia była już całkowicie nielegalna, a RDR w likwidacji.

— W tej sytuacji chyba nie spieszyło się wam do Lublina?

— Przeciwnie, wróciłem. I zameldowałem się pod własnym nazwiskiem. Jako rocznik 1897 zostałem prawie natchmiast zmobilizowany i pracowałem jako kancelista w intendencji Okręgu Korpusu. Szefem oddziału był kpt. Adolf Bier (jego córka była później wybitną działaczką ZWM), który okazywał mi dużą życzliwość i chyba czegoś się domyślał. Ta sielanka w intendencji DOK trwała niedługo. Aresztowano mnie jesienią i w mundurze osadzono na Zamku. Zwolniony po trzech miesiącach z braku jakichkolwiek dowodów nielegalnej działalności w wojsku wróciłem na dawne stanowisko, otrzymując nawet awans na starszego żołnierza. Jednak po miesiącu znów mnie aresztowano, tym razem z żoną. Oskarżano nas o przynależność do partii, czemu każde z nas kategorycznie zaprzeczało, żądając okazania dowodów. W lipcu byliśmy znów wolni. Była to wielka wygrana na loterii. Należało jednak jak najszybciej pozostać z Lublinem, zgubić się w wielkim mieście, najlepiej w Warszawie.

Relacja niniejsza jest tylko krótkim streszczeniem wielogodzinnej rozmowy o tym okresie sprzed pół wieku, w którym polski ruch rewolucyjny toczył przedostatnią walkę z rodzimą burżuazją, gdy wyrastały i hartowały się pierwsze szeregi polskich komunistów. Czasy były trudne i skomplikowane, siły proletariatu jeszcze słabe i dopiero organizujące się, ale to przecież był dopiero początek. W następnym etapie osobistej drogi Antoniego Bida będzie długoletnia praca dziennikarska, m. in. w samorządzie stołecznym, po wojnie stanowisko szefa Urzędu Prasowego Rady Ministrów, szefa Urzędu do Spraw Wyznań, posła PRL w Australii, posła i ministra pełnomocnego w Izraelu, wiceprezesa Głównego Urzędu Kontroli Prasy i Widowsk. Obecnie — jak nazywa emeryturę — delegacja do domu.

Gdy wreszcie wstaję, wzrok mój pada na dużą fotografię młodego chłopca.

— Wnuć?

— Syn. Jako sierżant Gwardii Ludowej zginął w akcji partyzanckiej pod Radzyminem. Pośmiertnie awansowany na porucznika i odznaczony Krzyżem Grunwaldu.

— Jeszcze jedno pytanie: dzisiejsze kontakty z Lublinem?

— Po wojnie byłem służbowo kilka razy, ale krótko. Nowego Lublina nie znam.

Myślę, że lubelski ZBoWiD miałby tu chyba coś do załatwienia.

Rozmawiał: Jerzy Dostatni

CZY SĄD UWIERZY?

ciąg dalszy ze str. 1

otworzyły się nagle drzwi i przede mną stanął we własnej osobie nie kto inny tylko Orsza — Łukasiewicz. Muszę się przyznać, że osłupiałem, gdyż po pierwsze cała ta sprawa dawno wyleciała mi z głowy, a po drugie — nigdy nie spodziewałem się, że zobaczę kiedykolwiek jeszcze tego człowieka. Uszczyptałem się parokrotnie, wypróbowałem sposobem, i skoro się upewniłem, że nie śnię i mam przed sobą nie zjawę, lecz człowieka z krwi i kości, podsunąłem mu krzesło i zapytałem, jakiemuż to zbiegowi okoliczności zawdzięczam jego odwiedzin i co go do mnie sprowadza.

Usiadł, ale nie od razu przemówił. Wyglądał okropnie. Zbiedzony, zmarnowany, w ubranku mocno podniszczonym. Widać było, że ma za sobą ciężkie przeżycia, a przed sobą niewesołe perspektywy.

Nie uciekł z Niemcami, jak powszechnie sądzono, lecz był zatrzymany przez władze wojskowe i internowany. Po wielu przegodach i dłuższej tularce wrócił do kraju. Najpierw udał się do Łodzi i tam zwrócił się do Schillera, aby mu wyjaśnić sens swojej przeszłości i uzyskać pomoc w obecnej sytuacji. Schiller nie chciał z nim gadać i oznajmił, że niezwłocznie o jego pobycie zawiadomi milicję. Wobec tego przyjechał do Lublina, by się zobaczyć z matką. Tu się do-

wiedział o sprawie Haliny B. i o mojej interwencji. To go ośmieliło prosić o poradę i ewentualną pomoc.

Spytałem go, czy wie o tym, że za nim są rozpisane listy gończe. Odpowiedział, że wie i zaraz jutro stawi się sam u prokuratora. Sprawy się nie boi, gdyż czuje się absolutnie niewinny.

Pora była późna, gość był bardzo zmęczony, toteż choć paliła mnie ciekawość, postanowiłem działać rozsądnie i rozsądnie. Orszy poleciłem, aby niezwłocznie udał się do matki i dobrze odpoczął. Ja sam pójść do prokuratora i zbadać, jak sprawa obecnie wygląda. Po tym wywiadzie ma przyjść do mnie i udzielić mi wyczerpującej informacji. Główny warunek — absolutna szczerść i prawdomówność. Od tych okoliczności uzależniłem podjęcie się obrony jego sprawy. Na razie niech się zbytnio nie afizjuje i nie opowiada obcym ludziom rzeczy niepotrzebnych. Oczekuję nań jutro o godzinie siedemnastej.

Po jego odejściu długo nie mogłem się uspokoić. Jeszcze raz myślałem wracałem do niedawnych, a tak już odległych czasów, przypominałem sobie wszystkie szczegóły. Już teraz zbierałem argumenty za i przeciw oskarżonemu. Naradzałem się ze swoją żoną, która oczywiście gorąco mnie namawiała do wzięcia w obronę opuszczonego i nieszczerliwego człowieka. Zdawałem sobie doskonałą sprawę, że proces będzie trudny i wymagający wielkiego nakładu pracy i nie mniejszego napięcia nerwów. Wiedziałem, że materialnie absolutnie nic nie uzyskam, a jeśli sprawę przegram — to osobista klęska. No a jeśli rozwiklam tę zagadkę i uda mi się

doprowadzić do pomyślnego końca — satysfakcja nie byle jaka!

Długo nie mogłem zasnąć, ale gdy rano zerwałem się z łóżka decyzja już zapadła. Pierwszą czynnością tego dnia powziąłem z całą świadomością, że działam jako obrońca Orszy, choć formalnego pełnomocnictwa jeszcze nie miałem.

Zacząłem od wizyty u prokuratora. Tam dowiedziałem się, że listy gończe nie zostały odwołane. Materiał w śledztwie zgromadzono dość obfity. Liczni świadkowie, i to poważni, obciążają swymi zeznaniami Orszę. Przeciw niemu są również wszelkie pozory i poszlaki, które są tak mocne, że starczą za dowody. Już dziś na podstawie tych danych można sporządzić akt oskarżenia. Głównymi zarzutami są: współpraca z gestapo oraz wydanie kilku osób w ręce Niemców za działalność konspiracyjną. Jeśli przewód sądowy to potwierdzi — wystarczy na kilkakrotną karę śmierci.

Skoro prokurator dowiedział się z moich ust, że Orsza jest w Lublinie i ma zamiar dobrowolnie zgłosić się do niego, uprzedził, że będzie natchmiast aresztowany, gdyż wobec tak poważnych zarzutów o odpowiedzialności z wolnej stopy nie może być mowy. Uzgodniłem więc datę stawienia się przed sądem i z ciężkim sercem opuściłem gabinet prokuratora. Niewesoło rozpoczął się dzień i sprawa.

Tego samego dnia o godzinie siedemnastej stawił się Orsza w moim mieszkaniu na powiadzenie generalną. Mówił dużo, prędko, dość chaotycznie, lecz treść była tak fascy-

nująca, że nie przerywałem mu toku myśli zbędnymi pytaniami i wysłuchałem z dużym zainteresowaniem wszystkiego do końca. Trwało to dobrych parę godzin. Potem kazałem mu to wszystko spisać i ten obszerny elaborat znajduje się do dziś w aktach sądowych. Postaram się teraz w ogromnym skrócie zreferować to jego słowami, aby wprowadzić od razu czytelnika w sedno sprawy.

— Nigdy nie przypuszczałem, że moje losy tak się ukształtują i że po przeżyciu tylu niezwykłych przygód, z których niejedna dziś jeszcze, gdy mi się przyśni o nocy, budzi mnie pokrytego zimnym potem — zaprowadzą mnie do rezultacie na ławie oskarżonych jako zdrajcę własnego narodu. Maja życie do wojny było nieciekawie i nie obfitowało do barwnie przeżycia. Jako aktor miałem duże aspiracje, ale widocznie niewielek możliwości, gdyż na tym polu nie osiągnąłem wielkich sukcesów. Ostatnio pracowałem przeżycie w administracji teatralnej i właśnie z chęcią wybuch wojny, gdy zespół mój się rozprószył. Z kilkoma kolegami znalazłem się w Lublinie. Z rodziny nie miałem nikogo, gdyż matka męża została we Lwowie. Ciężko było żyć w obym mieście, w tak trudnych czasach, podczas tak zropłej zimy. Próbowałem handlować — ale mi to jakoś nie wychodziło. Brak zakładowego kapitału, powstanie kontaktów i znajomości stał na przeszkodzie. Zresztą, krótko mówiąc, nie miałem szczęścia. Toteż, gdy rozdziała się myśl zorganizowania kawiarni udziałowej, chętnie się tego pomysłowi, jak się to mówi, rękami i nogami. Ze w dużej mierze przyczyniłem się do powstania tej placówki — temu chyba nikt nie zaprzeczy. Oczywiście, nie układałem pieniędzy. Nasz kapitał zakładowy był bardzo skromny, lecz w końcu wszystko jakoś się skłóciło i nadzieję na przyszłe zyski.

Nieprawda, że pan K., który został zabity w obozie i zabrany z naszego lokalu w roku czterdziestym zakochany wspaniał. Miał te rozgady już wtedy i w końcu nieprzychylni ludzie z jego najbliższego otoczenia.

Gdy wspólnik i kolega Zbigniew B. naprowadził do naszej kawiarni Fischera, było to dla mnie absolutnym szokiem. Wiedziałem, kto to jest i robiłem wszystko, by go ugodzić i niezyca — przecież, gdyby mu się cośkolwiek nie podobobało, w jego mocy było w ciągu kilku godzin zlikwidować kawiarnię, a nas wszystkich posłać na zagładę. Balem się już nie tylko o przetrwanie tego lokalu, z którym łączyłyśmy tyle nadziei, ale przede wszystkim o własną skórę.

Nie wiem, czy to cościeś mego pomysłu, czy też uroki którejś z koleżanek, a może nastroj naszego środowiska cyganisko-artystycznego sprze-

O właściwy kierunek badań filozofii marksistowskiej

Kazimierz Wiliński



Fot. Janusz Urban

W OKRESIE dwudziestolecia międzywojennego w filozofii polskiej panował nurt naśladowczy. Mamy więc podówczas w Polsce wszystkie aktualne i modne na Zachodzie kierunki filozoficzne. Zarówno neopozytywizm (najgłośniej reprezentowany w tzw. szkole lwowsko-warszawskiej) jak i fenomenologię (R. Ingarden). Później to charakterystyka dotyczy przede wszystkim środowiska filozofów akademickich, choć wydaje się w niemałej mierze adekwatna i w odniesieniu do sytuacji ogólnej.

W jakim stopniu poczynione uwagi mają zastosowanie w minionym 24 leciu? Odpowiedź nie jest zbyt trudna. W dalszym ciągu były kontynuowane wszystkie bez mała wątki poczęte w latach dwudziestych i trzydziestych naszego wieku, z dodatkami jeszcze egzystencjalizmu. Następuje nawet, chociaż jedynie ekstensywny, rozwój szkoły lwowsko-warszawskiej.

Daje się jednak obserwować i zjawisko nowe, związane ze zmianą struktury społecznej narodu i przejściem władzy politycznej w ręce partii robotniczej. Pojawia się mianowicie w uniwersytetach nurt marksistowski.

I od razu napatyka on określoną sytuację, utrwaloną przez dziesięciolecie klimat intelektualny — przynajmniej w środowisku filozofów zawodowych. Stąd niejako automatycznie założone są możliwości jego reorientacji.

Jednakże okres ten ma i poważne osiągnięcia. Nie tylko popularyzatorskie, choć były one i są nie najmniejszą ważną. Rozwijają się wtedy bowiem również badania bardziej pogłębione, systematyczne. Przede wszystkim zaś historyczno-filozoficzne. Te ostatnie nie ograniczają zresztą swego przedmiotu do filozofii obcej, lecz powstają także interesujące prace traktujące o filozofii polskiej wieku poprzedniego i początków naszego stulecia.

Wszakże później wśród polskich filozofów marksistów dochodzi do głosu orientacja odmienna. Front badań zostaje, po pierwsze, zwrócony na Zachód, skąd przychodzi egzystencjalizm. Notabene, jest rzeczą charakterystyczną, że nie było i nie ma u nas czystych egzystencjalistów, poza „nachyleniem” egzystencjalistycznym wśród niektórych marksistów.

Po drugie zaś, a są to przypadki nawet częstsze od tego pierwszego, usiłuje się, i to nawet przez dłuższy czas z dużym powodzeniem, zwracać marksizm w kierunku neopozytywizmu i szkoły lwowsko-warszawskiej. Czynnico to w przeciwnieństwie do poprzedniego (egzystencjalizm), nie krępując się zbytnio i w sposób zgola jawny. Na przykład czołowy eksponent tej tendencji sam niejednokrotnie deklarował, iż jest „marksistą pozytywistycznym”.

W ten sposób ukształtowały się i utrwały przez ostatnich lat kilkanaście dwa podstawowe sposoby „uzupełniania”, a mówiąc po prostu — rewizji marksizmu w naszych polskich warunkach.

I o ile po wydarzeniach marcowych tego roku „marksizm egzystencjalistyczny” został w dostatecznej mierze zdemaskowany, co jest zrozumiałe chociażby dlatego, że poprzez głoszone przez siebie treści miał on większe niż ten drugi możliwości szerokiego oddziaływania na studentów i nie tylko studentów, to „marksizm pozytywistyczny” pozostał w zasadzie nie tknięty, a jego reprezentanci zostali dostrzeżeni przede wszystkim o tyle, o ile zmienili orientację na przeciwną (por. np. Schaff i jego „Marksizm a jednostka ludzka”).

Rzeczywiście, są oni na pewno trudniej dostrzegalni; nie wypowiadają się przecież ani w „powiastkach filozoficznych”, ani w dramatach, a tworzą raczej dzieła systematyczne, często z dużą przemieszką aparatu logiki i matematyki. Sprawia to, że z natury rzeczy nie mogą liczyć, i nie liczą, na szerszą popularność.

Wystarcza im rozpowszechnianie ich poglądów w środowisku filozofów zawodowych. Przyznać trzeba, że łącznie z reprezentantami szkoły lwowsko-warszawskiej (niekiedy zresztą trudno tu o rozróżnienie) przedstawiciele tego „kierunku” stanowią ogromną większość zawodowo czynnej kadry filozoficznej w Polsce.

Dlatego wydaje się, że o ile ta odmiana rewizjonizmu nie stanowi bezpośredniego niebezpieczeństwa w skali masowej, o tyle jej działania w środowisku akademickim nie sposób przecenić.

Nie jest to bynajmniej konstruowanie problemów urojonych. Widomym świadectwem tego stanu rzeczy jest chociażby całkowity prawie odwrót wśród filozofów, którzy mienia się marksistami, od problematyki polityczno-społecznej (według terminologii neopozytywizmu: „problemy pozorne”) w stronę filozofii przyrody i badań wyłącznie czysto metodologicznych.

W tym świetle symptomatyczna stała się sytuacja na rynku podręczników i skryptów akademickich. O ile kierunki przyrodniczo-eksperymentalne dysponują tego rodzaju opracowaniami do wyboru, to tzw. program dla kierunków humanistycznych nie został przez lata całe pokwitowany żadnym systematycznym opracowaniem dla celów dydaktycznych.

Jaki, przy założeniu przewyższenia zarówno „marksizmu egzystencjalistycznego” jak i „marksizmu pozytywistycznego”, powinien być program pozytywny na teraz i na przyszłość filozofii polskiej? Oczywiście, przy założeniu, że będzie to filozofia marksistowska — bez przymiotnika.

Zdaje się być bezspornym, że powinna ona podjąć przede wszystkim dwa kręgi tematyczne, o nierównym zresztą znaczeniu. Należy kontynuować ten zapoczątkowany po wojnie kierunek badań, który miał jako przedmiot rewolucyjny i postępowe tradycje polskiej i obcej myśli społeczno-filozoficznej. Należałoby, moim zdaniem, w zakreslonych ramach podjąć również próbę reinterpretacji polskiej filozofii narodowej, oryginalnej, a przede wszystkim okresu mesjanizmu.

Po drugie, i ten postulat w aspekcie m. in. potrzeb nauczania akademickiego jest ważniejszy, trzeba przystąpić niezwłocznie do systematycznych studiów na społecznej filozofii marksizmu, nad materializmem historycznym.

Szczególna aktualność tego rodzaju badań wynika bowiem z potrzeb bieżącego życia. Należałoby mianowicie podjąć jako problem najważniejszy zagadnienie roli czynnika świadomego w stosunku do bazy, a dokładnie w stosunku do czynników ekonomicznych w ogóle.

Wiąże się to w sposób bezpośredni i naoczny ze współczesną walką ideologiczną pomiędzy komunizmem a antykomunizmem. Słowem, chodzi o teoretyczne zbadanie roli ideologii w świecie współczesnym.

Jest to, jak się wydaje, podstawowe zadanie, które musi podjąć i rozwiąć marksizm naszych czasów; tu leży również szansa polskiej filozofii marksistowskiej.

Przy tym nie ma, oczywiście, żadnej potrzeby jakiegś nowej rewizji jego zasad podstawowych.

Trzeba natomiast uświadomić sobie, iż wygłoszona swego czasu przez Engelsa uwaga o pewnym zniekształcającym uproszczeniu pojmowania stosunku między bazą a nadbudową jest także i obecnie w poważnym stopniu aktualna. W miarę zwiększania się zasięgu oddziaływania poszczególnych doktryn ideologicznych ich rola może być, w określonych warunkach miejsca i czasu — w niewielkim przedziale czasowym, nie mniejsza niż bazy. Nie od rzeczy wreszcie byłoby przypomnienie, w tym kontekście, znanej wypowiedzi Marksa o tym, że ideologia staje się siłą materialną, kiedy opanowuje masy.

W świetle sygnalizowanych wyżej uwag wydaje się na przykład, iż traktowanie problematyki tzw. środków masowego przekazu i ich roli w świecie współczesnym w oderwaniu od wcześniejszych ustaleń naczelnych pryncypiów marksizmu jest izolowaniem całej tej problematyki empirycznej rzeczywistości od obejmującej i ją również szerszej doktryny ideologicznej. Stwarza się niekiedy złudzenia, że problem ten da się rozwiąć w ramach ograniczonych burżuazyjnych pojęć inżynierii społecznej, czy też wręcz na gruncie psychologii reklamy.

Wszystko to prowadzi jedynie do wyjaśnień cząstkowych. Marksizm natomiast dysponuje narzędziem kompleksowej analizy tego zjawiska współczesności.

Nie od rzeczy będzie tu przypomnieć, wypowiedź Gramsciego o tym, że z momentem, kiedy masy ludzkie, całe narody, zaczynają uczestniczyć w życiu politycznym, rola ideologii w ogóle, a również w stosunku do bazy, niepomniernie wzrasta.

Można więc powiedzieć, że powstaje wtedy nowa jakość, czego nieestety, negatywne przejawy mieliśmy i u nas, lecz przede wszystkim w Czechosłowacji, gdzie w pełni ujawniło się i w dużej mierze trwa w dalszym ciągu poważne skrzywienie świadomości ideowej narodu w warunkach niewątpliwego istnienia rozwiniętej bazy ekonomicznej o charakterze socjalistycznym.

Najlepszy to, choć bynajmniej nie budujący przykład, do czego prowadzi niedocenianie roli ideologii i nadbudowy w ogólności. Proces te-

go rodzaju trwał w Czechosłowacji od wielu lat. Wiadomo skądinąd, że również i poprzednie kierownictwo KPCz nie przywiązywało zbyt wielkiej wagi do roli frontu ideologicznego. Naoczne przejawy świadczące o tym można było obserwować chociażby na przykładzie polityki wydawniczej w dziedzinie nauk społecznych.

Po to, abyśmy w tej dziedzinie nie musieli ograniczać się do egzemplifikacji wyłącznie negatywnej, trzeba nie tylko rozwinąć i rozbudować bazę techniczną środków masowego przekazu, choć nie jest to bez znaczenia, lecz również, i przede wszystkim, podjąć w kategoriach marksizmu poważną teoretyczną analizę szerszego problemu roli ideologii w świecie współczesnym. Wyniki tej analizy powinny przy tym stanowić stałą dyrektywę praktycznej działalności.

Moim zdaniem właśnie problem ideologii stanowi współcześnie główne, podstawowe ognisko rozwoju marksistowskiej filozofii i teorii rozwoju społecznego.

Maria Ballod

zbieram się żmudnie drążyć wiersze
przebijam żwawy klangor lata
przecieram godzin drobny nalot
dotarłam wreszcie — do czekania
przy wiotkich mostach
rudych drogach
u ujścia rzek
przy gniazdach ptaków
na skraju miasta
w kruchcie nieba
gdy się czekało coraz prędzej
a wszystkie maszyny bezszelestnie

wstawały i rzucały cień
gdy się czekało jeszcze moment
nim spadnie kurz
nim oczy przetrze przygodny wiatr
czekałam głośniejszy
przeszły tabuny
spelżył lodzie
rżenie miasta stłumił psalm
nastroił ciszę
w ciszę w cień
niepewnie westlałam
drążyć wiersze

ty, że ci panności zaczęli przychodzić coraz częściej, a to końcu stał się codziennym gościem. A wtedy znów się bałem, bardzo bałem, że lokal życia zią stawać, że zaczęją go ludzie omijać, że będzie ścieżki pustkami i nie zrobi natężeń na nasze skromne utrzymanie. Obawy moje sprawdziły się tylko potocznie — lokal zyskał zią stawać, ale frekwencja była codziennie większa. Oczywiście, musiałem się specjalnie starać, by tym niebezpiecznym klientom najbardziej umiłowemu u nas, z drugiej strony czulem stale obawie, że za te kontakty przyjdzie mi drogo zapłacić. Komu i kiedy — nie zdawałem sobie dokładnie sprawy, ale czułem, że to się musi niedługo stać. Dla zabicia łąki piłem, piłem z gośćmi kawiarzami, piłem z gestapowcami, piłem sam.

Gdy po pewnym czasie w godzinach rannych, kiedy kawiarznie jeszcze stała pustka, zgłosił się do mnie pewien pan prosząc o dłuższą chwilę cisze pokojnej rozmowy — pomyślałem sobie: to już teraz. Jegośność ten bez żadnych ustępstw i cieniem podziemia organizacji — wtedy to się nazywało ZWZ — to od dłuższego czasu lokal nasz jest pod czujną obserwacją, że wtedy wszystko o tym, co się tu odbywa i że... przyszedł w imieniu tejże organizacji polecić mi, abym te przyjaźnielskie stosunki z gestapowcami kontynuował i załatwiał, i że w swoim czasie otrzymam rozkazy od odpowiednich ludzi, w jaki sposób te kontakty mają być wykorzystane. Dodad jeszcze, że nie była mnie o zgodę, gdyż sprawa w odpowiednim gronie została już przemysłana i przesądzona, natomiast wszelkie z mej strony nieposłuszeństwo, zdrada tajemnicy lub chęć pracy na dwie strony połączona z sobą odpowiedzialnie i natychmiastowe konsekwencje. Potem spotkałem się jeszcze z nim raz czy dwa razy. Dał mi ściśle instrukcje, hasła itp. Przyjął ode mnie przysięgę, kazał czekać na kontakty ze stacją, jeszcze raz przypomniał o ścisłej tajemnicy i, jak mi wiadomo, za kilka dni wjechał cichym do Lublina. Ten pan nazywał się Wacław J. i podobno mieszka obecnie w Lublinie.

Tak to zupełnie przypadkiem i mimo woli stałem się członkiem podziemnej organizacji. Jakże były moje funkcje? Na razie żadne. Przez dłuższy czas nikt się nie zgłaszał, nie otrzymywałem żadnych poleceń ani rozkazów. Bardzo mnie to denerwowało, długie oczekiwania bardziej zjada nerwy, niż aktualne niebezpieczeństwo. Spodziewałem się jakichś trudnych i ryzykownych zadań, obawiałem się już na kredyt, że się z nich nie wywiążę, a tu całkowity spokój. Natomiast codziennie przychodził do lokalu gestapowiec. Pomny otrzymanych poleceń, czując się decyzyjnie i bezwzględnie, na tym odcinku odnosił sukcesy sukcesy. Stosunki nasze stały się niemal przyjacielskie. Odnosiłem wrażenie, że ufają mi już całkowicie.

W końcu dało mi znak. Do Lublina przyjechał dyr. Janusz Strachocki. Znałem i poznałem

tego znakomitego aktora już od dawna, a nie przypuszczałem, że to właśnie on mnie w tajemnicy w arkana nowej pracy. Otrzymałem więc pieniądze, hasła, kontakty i tak się rozpoczęło.

Tu należałoby wyjaśnić, co rozumie i jakie usługi oddał organizacji w tym lubelskim okresie. Trudno mi definiować. Były to pewne czynności dla mnie niezrozumiałe i pozornie nietrudne. Notowanie nazwisk, rodzaju służby, sposobu życia i sytuacji jakiegos oficera SD; niekiedy informacja, gdzie, kiedy i na jakie stanowisko został przeniesiony i ów przeniesiony, jakimi ulicami powraca do swego mieszkania nocą Fischerer lub kto inny z nich itp. No i, oczywiście, bardzo często korzystanie z mojego mieszkania i naszej kawiarznie jako skrytki pocztowej, miejsca kontaktów i czasowej składnicy różnych rzeczy i dokumentów, których treści i przeznaczenia były mi absolutnie nieznane. Nie potrafiłem, żeby to były rzeczy trudne. Przy odpowiednim zaufaniu, jakim mnie obdarzył gestapowiec, i przy dobrej, mocnej wódecie wiele rzeczy można było się od nich dowiedzieć.

Niespodzianie przyszła ułtka komplikacja i to z tej strony, z której niczego się nie spodziewałem. Koledzy moi — aktorzy — krzywym okiem patrzyli na codziennie kosztowne libacje. Byli najwyraźniej przekonani, że ja ich ciężko zapracowałem pieniądze przepijam z gestapowcami. Ze oni z tego nie odnoszą przecież żadnej korzyści, a nawet mnie posadzili, że przy tej okazji załatwiam jakieś brudne interesy pieniężne. Zburzowali się, zażądali rozrachunku, powiększenia dziennego wyplat, zagrozili strajkiem i odcinali się do arbitrażu.

Znalazłem się w wyjątkowo trudnej sytuacji. Zmieniłem swego trybu życia nie mogłem, wytrzymałbym (m, co naprawdę robię i skąd mam pieniądze — nie mogłem, przystać na sąd polubowny — również nie mogłem. Nawet poradzić się nie było tego. Wybrałem sposób brutalny, ale chyba jedyny w tej sytuacji. Odmówiłem wszelkich pertraktacji i dateram, że gdy będę zmuszony, skorzystam z pomocy władzących osób. Słowem zaszantażowałem ich interwencją gestapa. Krzyk się zrobił w całym mieście ogromny, ale mnie to było na rękę, sprawa uciechła i poszła w zapomnienie.

Dodać jeszcze muszę parę słów o tak głośniejszego czasu działalności artystycznej w naszym lokalu. To była wyjątkowa moja inicjatywa. I nie miało nic wspólnego z organizacją. Korzystając z cichego przyzwolenia gestapowców, zapraszałem do lokalu na występów wybitnych pracowników polskich scen. Cele miałem tylko osobiste. Chciałem pomóc im finansowo i w ten sposób pozyskać ich wdzięczność i sympatię, a jednocześnie dać polskiemu widzom tak rzadką w tych czasach dobrą strasę artystyczną i tym samym poprawić moją opinię. Jak się później okazało, żadnego z tych celów nie osiągnąłem.

Tak się przedstawiała pokrótce moja działalność w Lublinie, ale to był dopiero wstęp do tego, co nastąpiło w Warszawie.

Orsza umilkł, lecz po wypiciu szklanki mocnej kawy i wypaleniu kilku papierosów kontynuował dalej:

— Po wyjeździe Fischerera z Lublina i przeniesieniu Stöffla do Warszawy wszystkie moje stosunki z miejscowym gestapo urwały się. Przychodził wprawdzie siłą nawyku Jacys jeszcze SS-mani, ale to były plotki. Na skutek tego moja istotna rola w kawiarznie w Lublinie skończyła się. Pozostały już tylko same kłopoty, przykrości i moja niedużoznaczna pozycja w oczach polskiego społeczeństwa. W swoim czasie udało mi się uzyskać zwolnienie z więzienia kilku osób. Ale sam Fischerer uprzedził mnie, żebym się więcej z podobnymi interwencjami do niego nie zwracał. A tu pententów było wielu i w sprawach ludzi o dużych zasługach i wielkiej wartości. Musiałem uciążliwie odmawiać i tłumaczyć, że nie nie mogę zrobić. Nie uierzono mi i podeszczano o najgorsze.

Toteż z wielką ulgą i radością przyjąłem kolejny rozkaz, aby przenieść się niezwłocznie do Warszawy. Tam miałem zorganizować lokal rozrywkowy i tak go urządzić i prowadzić, aby osiągnąć do niego wybitnych gestapowców, wykorzystując już wszystkie przedtem uzyskane kontakty. Kobieta-łącznik pseudonim „Jadwiga” uręczyła mi na ten cel kwotę 136 tys. złotych, co stanowiło wtedy poważną sumę.

Zabrałem się więc ochoczo do dzieła i już w niedługim czasie nastąpiło otwarcie nowego lokalu przy ul. Kruczej 11, który nazwałem „Płp”, tak jak coctali mego pomysłu. Urządziłem go wytwornie, miałem przecież za co, i zacząłem urządzać. Szpicla i lapownika z Lublina Z. zatrudniłem w charakterze barmana nie z własnej inicjatywy. Brakowało jeszcze kilku szczegółów dotyczących jego działalności. Należało go więc mieć na oku, a najłatwiej było to uczynić u mnie i przede mną.

Na początku przychodziły różne typy i podejrzane osoby, handlarze i walczarze, agenci i konfidenci. Płacili strome rachunki, ale tych klientów, których chciałem, uciąć nie było. Przemysławałem, w jaki dyskretny sposób postarać się znów pozyskać utracone kontakty, ale nie nie mogłem wymyślić. Dopiero pomógł mi przypadkiem.

Pierwszego dnia przechodził ulicą Kruczej po cyrulcinemu Willy Stöffel. Zauważył nowy lokal, ustąpił i od razu natknął się na mnie. Ogromnie się ucieszył z tego spotkania i od tej chwili stał się moim gościem sam i w towarzystwie innych kolegów. Zaczęło się wszystko tak jak w Lublinie. Nie będę szczegółowo się nad tym rozważał, aby się niepotrzebnie nie powtarzać, prop-

nę tylko na zakończenie opowiedzieć ostatnią swoją pracę, która stanowiła niewątpliwie koronę mego konspiracyjnego działania.

Wiadomo było moim mocodawcom, że Stöffel w swoim mieszkaniu na Chocimskiej przechowywał w biurku dokumenty, które dla nas miałyby wartość niesłychaną. Mieszkanie nie było specjalnie chronione. Przebywał tam incognito, zameldowana była jakaś niezranna, może nawet fikcyjna osoba. Ale jak tam się dostać? Byłem u niego parę razy na pijanistwie, poznałem dokładnie rozkład pokoi i ustalenie sprzętów, teledziennik, o jakie biurko chodzi — ale zażreć do środka nie sposób...

I znów pomógł mi przypadek. Pewnego razu, gdy lokal był jeszcze pusty, odwiedził mnie niespodzianie Stöffel i zapytał się, że kobieta Niemka, która była mu przydzielona jako pomoc domowa, osoba pełna — zachorowała i na razie nie mogą mu innej przysłać. Człowieka nieznanego zaangażować mu nie udało — to musi być ktoś panowy. Zwracał się więc do mnie jako do przyjaciela, któremu całkowicie ufa, czy nie mógłbym dla niego znaleźć odpowiedniej i odpowiednioj kobiety. Może być nawet Polka, ale musi miećbiebie po niemiecku, no i... sam zresztą powinienem zrozumieć, o co chodzi.

Przyrzekłem, że mu zrobię tę przysługę, dam czystość, za którego absolutnie ręczę i już za dwa dni objeła u niego służbę skierowana przez nas osoba. Była to Felicia W., studentka, której uodna przerwała studia, dziewczyna inteligentna i odważna. W czasie kilku dni pobytu w tym domu dokonała bardzo wiele, ale nie wszystko. Poznała mnóstwo szczegółów z trybu życia swego gospodarza. Rozkład jego zajęć, godzinny, w których rano przebywał poza domem, i te, w których przeznaczenie wracał, w przybliżeniu daty jego stałych wyjazdów poza miasto i te szafady w biurku, gdzie przechowywał dokumenty i fotografie. Nawet zdolała zdobyć odciski kluczy, które zawsze nosił przy sobie, wykorzystując krótki moment jego pobytu w łazience, ale otworzyć biurko i sfotografować bądź wybrać potrzebne papiery i fotografie — to już przekraczało jej możliwości. Trzeba było pomóc. Obcego człowieka nie można było wprowadzić. Musiałem uczynić to sam.

Gdy pewnego wieczoru lekko zaciągnię Stöffel zastąpił do naszego lokalu na dalsze pijanistwo, zastał mnie zgnębionego, siedzącego na walizkach. Na jego pytanie, co się stało, odpowiedziałem ja-

Dokończenie na str. 9

Listy do
KAMENY

do tej szkoły przyjmują i na jakich warunkach. Bardzo proszę o adres tej szkoły.

Beata Pasternak

OD REDAKCJI: Niestety, Droga Koleżanko, szkół piosenkarskich w Polsce nie ma. Istnieją natomiast szkoły muzyczne — podstawowe, średnie i wyższe. Blizsze informacje o warunkach przyjęć do tych szkół — w tym wypadku w grę wchodzi szkoła średnia — można otrzymać w Wydziale Kultury Prezydium WRN we Wrocławiu. Życzymy powodzenia, a równocześnie zachęcamy do przemyslenia swego wyboru. Nauka w takiej szkole wymaga szczególnej pracowitości, no i ogólnej muzykalności też trzeba się wykazać.

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

W czytelni Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy w Białymstoku wystawiał artysta rzeźbiarz — Marian Giełuda. Twórczością artysty interesują się wystawy zagranicą. Poprzez „Dese” jego prace eksponowane były w Paryżu oraz w Salonie Sztuki Współczesnej we Florencji; znajdują się także w zbiorach prywatnych.

Również w Klubie MPIK czynna była wystawa „Pomniki walk i męczeń-

stwa narodu polskiego”, zorganizowana staraniem Rady Głównej i Wojewódzkiego Komitetu Ochrony Pomników Walk i Męczeństwa, Klubu MPIK i Pracowni Sztuk Plastycznych. Dużą zainteresowanie wzbudził projekt plastyczny upamiętnienia miejsca kaźni hitlerowskiej w Boguszu (pow. grajewski).

Na Białostocczyźnie, w ramach współpracy przygranicznej między województwem białostockim a obwodem królestkim, bawił grupa lektorów radzieckich. Goście odbyli wiele spotkań, na których mówili o historii najnowszej i współczesnym życiu Białorusi.

KIELCE

W Kielcach odbyło się Plenum Komitetu Wojewódzkiego PZPR, poświęcone sprawom kultury i zadaniom ideowo-wychowawczym organizacji partyjnych w działalności kulturalnej.

Przy Zakładach Wapienniczych w Bukowej otwarto Zakładowy Dom Kultury. Zbudowany kosztem około 1 mln złotych, przy wydawnictwie pomocy społecznej pracowników, obiekt mieści salę kinową ze 150 miejscami, bibliotekę, salę baletową, kawiarnię i salę gier. Zakładowy Dom Kultury w Bukowej zamierza objąć działalnością okolice wieś.

W Rożnicy odbył się zjazd absolwentów miejscowego Uniwersytetu Ludowego. Uniwersytet rożnicki opuściło do tej pory 128 osób, zatrudnionych w placówkach kulturalnych.

LUBLIN

Oddział Historyczny Muzeum Górnego w Lublinie przygotował dla uczczenia 60 rocznicy powstania KPP wystawę pn. „KPP na Lubelszczyźnie w latach 1918—1920”. Ekspozycja zawiera bogaty materiał historyczny obrazujący działalność KPP od jej powstania aż do rozwiązania w 1920 r.

Teatr im. J. Osterwy wystąpił z premierą „Kłopoty i Cezara” — Nowida. Przedstawienie reżyserował Kazimierz Braun, scenografią Otto Azeza.

W salach BWA wystawia swe prace i akwarele Henryk Zwolickiewicz. Dotychczas Zwolickiewicz wystawiał głównie grafiki artystyczną i użytkową. Głównie i akwarele to mało znana dziedzin jego twórczości.

W Muzeum Czechowicza odbyła się dyskusja nad filmem Wojciecha Hasa „Lalka”. Zagajenie stanowiły wystąpienia: krytyka filmowa, Leona Bukowieckiego oraz krytyka literackiego, kierownika Muzeum im. B. Prusa w Należowie, Tadeusza Klaka.

RZESZÓW

Rada Uczelniana ZSP i Zarząd Uczelniany ZMS przy pomocy pracowników Zespołu Nauk Społeczno-Politycznych Wyższej Szkoły Inżynierskiej zorganizowały seminarium „Polska 88”, poświęcone najważniejszym wydarzeniom politycznym i problemom międzynarodowym w minionym roku.

W Zalesiu k/Rzeszowa rozpoczęto budowę Młodzieżowego Domu Oświaty. MDO budowany jest ze środków społecznych, dotychczas zgromadzono ponad 25 mln złotych, z których znaczna część pochodzi ze składek członków ZMW.

W nowej placówce znajdują pomieszczenia sale wykładowe, internat na 200 miejsc, stołówka, sala gimnastyczna, kino-teatr i kawiarnia.

W klubie „Turkus” Wojewódzkiego Domu Kultury odbył się poranek autorski z okazji 70 rocznicy urodzin i 40-lecia pracy twórczej Franciszka Lipińskiego.

Pierwszy zjazd księgarzy

Jerzy Raczkowski

W dniach 4—6 sierpnia 1918 r. odbywał się w Lublinie Powszechny Zjazd Księgarzy Polskich, na którym po raz pierwszy zgromadzili się księgarze polscy z trzech zaborów. Prof. Józef Kallenbach pisząc o prześladowaniach wszystkich, co ma związek z polską kulturą, a szczególnie z polskim piśmiennictwem, tak się o polskim księgarstwie wyraził („Ziemia Lubelska” nr. 367 z 4 VIII 1918 r.):

Może (ona) poszczycić się piękną tradycją, posiadając w swych dziejach niejedną chlubnie zapisaną czyniami dla dobra kultury rodzimę kartę heroiczną, nie zdolała jednakże dotychczas wznieść się do roli, jaką zawód ten odgrywa we wszystkich społeczeństwach zorganizowanych i jaka przyspaść musi i w naszym, jeżeli godnie ma spełniać swe zadanie. Wymieniane jako jedyna gałąź polskiego wytwórstwa i handlu, utrzymująca w ciągu długich lat niewoli narodu ścisłą, ciągłą i nieprzerwaną łączność ekonomiczną ziem polskich, mogło ono trwać w tym charakterze przede wszystkim dzięki temu, że stanowi wtórne zjawisko piśmien-

nictwa, które oczywiście nie zna kordonów, gdyż wyrasta z jednego pnia i na jednej polskiej glebie się krzewi...

Związki księgarzy polskich istniały w poszczególnych zaborach, jednakże nie mogły rzucić się autonomicznie, ponieważ były jednocześnie częścią składową obcej pod każdym względem organizacji kupieckiej. W tej sytuacji problem zrzucenia się księgarzy polskich stał się jeszcze przed zakończeniem wojny zagadnieniem wielkiej wagi. Urzeczywistnieniu tej idei grono organizatorów Zjazdu oddaje wszystkie swe siły. Największą trudnością jest to, że niemieckie władze okupacyjne nie chcą wyrazić zgody na udział w Zjeździe księgarzy polskich z zaboru pruskiego. Dzięki jednak długotrwałym i usilnym staraniom wszystkie przeszkody zostały szczęśliwie usunięte. Z wyjątkiem tej, aby obrady mogły odbywać się w Warszawie.

Na siedzibę Zjazdu okupanci wyznaczają Lublin. A więc Lublin miał miłą sposobność goszczenia w swych murach uczestników Pierwszego Powszechnego Zjazdu Księgarzy Polskich. Pionierzy szerzenia kultury narodowej za pośrednictwem drukowanego słowa — liczenie przybyli do naszego grodu — pisała „Ziemia Lubelska” 5 sierpnia 1918 r.

Pracami przygotowawczymi kierował komitet organizacyjny w składzie: Z. Arct (Warszawa), K. Gubrynowicz (Lwów), M. Krzyżanowski (Kraków), J. Leitgeber (Poznań), P. Miks (Łódź), J. Mortkiewicz (Warszawa), M. Niemierkiewicz (Poznań), B. Poloniecki (Lwów), T. Prószczyński (Warszawa), Franciszek Raczkowski (Lublin), St. Sadowski (Warszawa), A. Szymański (Warszawa), M. Szczepkowski (Warszawa) i G. Wolff (Warszawa)

Obrady rozpoczęły się w niedzielę o godz. 19 w sali posiedzeń Rady Miejskiej na ratuszu. Obok przedstawicieli Tymczasowej Rady Stanu byli obecni dziennikarze z „Kuriera Warszawskiego”, „Przeglądu Porannego”, „Godziny Polskiej”, „Ziemi Lubelskiej” i „Głosu Lubelskiego” — niestety zezwolenie na przyjazd nie otrzymał dziennikarz z zaboru austriackiego i pruskiego.

Zjazd otworzył Gustaw Wolff. Wygłoszono osiem referatów, w tym aż cztery księgarz-wydawca warszawski J. Mortkiewicz — o organizacji księgarskich w kraju i za granicą, Franciszek Raczkowski mówił „O księgarzu sortymentysty”. Dyskusja była żywa, wszyscy wyrazili nadzieję, że tylko silna organizacja zawodowa da możliwość należytej pracy poszczególnym środowiskom.

Nie tu miejsce na streszczenie obrad i dyskusji. Powinny się tym zająć sami księgarze przy współpracy historyków. Być może żyją jeszcze niektórzy uczestnicy Zjazdu, którego znaczenia dla polskiego księgarstwa nie wolno nie doceniać — nawet dzisiaj, mimo że nasze księgarstwo istnieje w biegunowo odmiennych warunkach.

W wyniku narad powołano do życia Powszechny Związek Księgarzy i Wydawców Polskich, którego organem prasowym został „Przegląd księgarski”. Przyjęto wniosek o utworzeniu „Księgi adresowej księgarstwa polskiego”. Wreszcie uchwaiono „Regulamin stosunków księgarskich”, który miał unormować stosunki pomiędzy księgarzami-akładkami, sortymentystami (księgarze nie będący wydawcami) a społeczeństwem. Nie od rzeczy będzie stwierdzić, że ten regulamin stanowił najbardziej niewralgiczny punkt nie tylko w czasie samego Zjazdu, ale i przez cały okres międzywojenny. Zbyt wielkie różnice interesów dzieliły potentatów-wydawców od olbrzymiej większości sortymentystów. Toteż po kilku latach księgarze-wydawcy utworzyli odrębną organizację pod nazwą Polskie Towarzystwo Wydawców. Natomiast Związek Księgarzy Polskich zrzeszał wyłącznie księgarzy-sortymentystów. Jak wielkie w tej dziedzinie panowały różnice niech świadczy taki wyjątek z listu J. Gniewkowskiego do Fr. Raczkowskiego z maja 1933 r.: „kochali oni nade wszystko własne książeczki czekowe” (chodzi o księgarzy-wydawców).

Pod koniec obrad przedstawiciel Lublina Franciszek Raczkowski zgłosił dwa nagłe wnioski: 1) o sprawiedliwy podział wynagrodzeń pomiędzy personel męski i żeński o jednakowych kwalifikacjach, 2) jak najszybsze zorganizowanie Domu Komisowego, niezbędnego przede wszystkim dla księgarzy prowincjonalnych.

Dodać może jeszcze warto, że staraniem Fr. Raczkowskiego w kuluarach ratusza w czasie obrad eksponowana była wystawa książek polskich, wydanych w latach 1914—1918.

Łazarzowe podanie

Dokończenie ze str. 4

znaleźć wielu takich lub podobnych Łazarzów. To oni w znacznym stopniu wpływają na kształtowanie się tzw. wskaźnika fluktuacji kadr, wędrują wewnątrz zakładu, są przenoszeni do różnych komórek, wydziałów, służb, sami zmieniają miejsca pracy w krótkich odstępach czasu. Ktoś (ZMS, grupy związkowe, wydziałowe instancje samorządowe, a może wszystkie czynniki razem?) musi znaleźć dla nich czas i okazać im zrozumienie, ktoś musi zająć się ich — by użyć modnego ostatnio sformułowania — społeczną i zawodową adaptacją. W przyspieszonym, pracowitym tętnie wielkiego czy mniej wielkiego zakładu, w twórczej pogoni za czasem, w zbiorowym wysiłku o plan, wskaźniki, dobra socjalne, warunki bytowe — nie można tracić z oczu zwyczajnego człowieka. Często w wielotysięcznej zabudze tkwią ludzie bardziej samotni niż na bezludnej wyspie, samotność ta jest bardziej przenikliwa właśnie przez obojętną obecność, a nieraz i piękąą drwinę „najbliższych”. I przez nieuchronne narastanie urojonych lęków, domniemań, dręczących fobii.

Potem komitety zakładowe, instancje związkowe, dyrektorzy, redakcje otrzymują wiele listów i podań — dziesiątki, setki i tysiące takich oto jak to Łazarzowe: *Więćja proszę gorąco Pana Dyrektora żebym mógł pracować w zakładzie. Chętnie będę pracował, bo wszystkim muszę udowodnić, tylko żebym nie przesładowali. Jak się nie jest wesołym kumplem to jeszcze nie grzech. Nie każdy miał takie życie, żeby zostać wesołym kumplem. Ja chcę pracować i umiem pracować. Tylko żebym dostał taką robotę, żeby nikt mi nie dokuczał. Ja z mechaniki wszystko potrafię zrobić, nie ma takiej maszyny, żebym nie wiedział, jak ją naprawić.*

To na zakończenie jeszcze raz proszę Pana Dyrektora...

Stanisław Harasimiuk

P.S. Dowiaduję się właśnie, że konkretna sprawa J. Łazarza załatwiona została przez dyrektora zakładu pozytywnie — mój rozmówca pracuje, zachował dawne uprawnienia. Można by więc sądzić, że wszystko ułoży się jak najlepiej. Załamy nawet optymizm, że J. Ł. nie popadnie tym razem w konflikt z otoczeniem, ale załatwienie jednej sprawy to wyjątek, gdy tymczasem w skali społecznej, problem pozostaje oczywiście nadal otwarty.

S. II.

CZY SĄD UWIERZY?

Dokończenie ze str. 7

kgą zmyślona historyjka, że z takich a takich powodów chulwotno zostałem posławiany mieszkańca i przez te kilka dni będę zmuszony nocować w kawiarni zimno i niewygodnie. Stöffel rozczulił się moim losem i po przyjacielsku zaproponował mi przez te kilka nocy skorzystać z gościnny u niego, oczywiście do ścisłej tajemnicy. Początkowo wstrząsnął się, tłumacząc, że nie chce czynić mi kłopotu i narazić na niewygodę, ale w końcu uległ. Tego zakropiliśmy ten przyjacielski gest i już tej nocy spałem na ul. Chocimskiej.

Teraz nastąpiło kilka najbardziej demoralizujących i niebezpiecznych dni i nocy w moim życiu. Boże, jak ja się bałem. Nawet nie mogłem wtedy pisać, bo trzeba było działać precyzyjnie i na trzeźwo. Stanowczo nie nadawałem się na ulamytowca. Ciągły lęk, że Stöffel nas zapie w trakcie roboty, lub coś zawoży, bo trudno było zachować idealny porządek w szafadach, skoro przedkładałem sobie wywracać do góry nogami. Całe szczęście, że wracałem do domu, o ile wracał na noc, zawsze tak zmęczony, że usiłowałem na łóżku i momentalnie zasnąć, albo pijany — wtedy go namiętnie do jeszcze większego picia. Ze strachu.

Spieszyliśmy się bardzo. Toteż robotę dość szybko doprowadziliśmy do końca. Jakże ona miała znaczenie, trudno mi osądzić. Niech lepiej po wiedz ci, na których terenie to robiliśmy.

Najpierw zwiata moja towarzysząca. Powiedziała, że zachorowała jej matka i musi chwilowo wyjechać. Potem ja odyskałem dawne mieszkanie, a potem zdarzył się nieoczekiwany, tragiczny wypadek. Jeden z naszych ludzi został zatrzymany na ulicy i przy rewizji znaleziono przy nim fotografie, co do których nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że pochodzą z szuflady biurka Stöffla. Miałem jeszcze raz szczęście. Uprowadzono mnie w porę. Rozplątałem się w wielkiej Warszawie i zatarłem wszelkie ślady.

To wszystko, resztę pan wie.

Takie wyjaśnienia złożył mój klient owego wieczoru. Oczywiście, to nie było tak gładko wypowiedziane i tak zwarte. To jest moje streszczenie. Ale sens i treść zostały ujęte w rzetelnej dokładności.

Potem nastąpił między nami dialog tej treści:

Ja: — Wszystko to jest bardzo ciekawe, a miejscami nawet sensacyjne, ale kto temu uwierzy? Ja wierzę, po pierwsze dlatego, że jestem pana obrońcą, po drugie, że długie rozmyślenia nad tą niecodzienną sprawą doprowadziły mnie do pewnych pozytywnych wniosków. Ale sąd zażąda dowodów. Sąd trzeba przekonać — ba, nawet i prasę i publiczność, które niewątpliwie zapelnia salę. Obronę mam przygotować, a pan musi mi pomóc. Jakie dowody pan zaofiaruje i jakie

dokumenty przedłoży? Czasu mamy niewiele...

Orsza, rozkładając ręce: — Niestety — z tym jest najgorzej. Ja podlegam tylko Warszawie, w Lublinie nikt o mojej działalności konspiracyjnej nie miał prawa wiedzieć. Jeden tylko człowiek mógł być zorientowany: dowódca Okręgu „Marcin”, ale general Tumidajski nie żyje. Byłem u Strachockiego, który wie bardzo dużo. Powiedział, że wolalby nie być świadkiem, a jeśli już musi, to nie poda potrzebnych nam nazwisk. Ci ludzie swego czasu się nie ufawili, niektórzy przeszli do WiN, prowadzili działalność nielegalną, są tacy, którzy już byli sądceni (pamiętajmy, że to był rok 1948). Na ślad Pelagii W. trafiłem. Może uda się ją odnaleźć. Nazwisk świadków podać nie mogę, bo sam ich nie znalazłem — tylko pseudonimy. Szefem szałki wywiadu był „Oskar”, moim bezpośrednim przełożonym „Czarny”, innych nawet nie bardzo pamiętam, bo to już upłynęło kilka lat. Zresztą przysięł panu moją żonę, ona sporo wie, może panu pomoże.

Na tym skończyła się konferencja. Za dwa dni Orsza zgłosił się do prokuratora i dnia 22 X 1948 r. został aresztowany. Niebawem wpłynął do sądu akt oskarżenia. Rozprawę wyznaczono na dzień 5 stycznia 1949.

Jaki był przebieg rozprawy i treść wyroku — opowiem następnym razem.

Konrad Bielski

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSLAW DEBECKI, IRENEUSZ J. KAMINSKI (kierownik działu publicystyki) i ROMUALD WIŚNIEWSKI (Redakcja techniczna i korekta ALICJA KRÓLIKOWSKA). Informacji w sprawie prenumeraty, udziela placówka pocztowa i „Ruch”. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aljeja Racławicka 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PRWN, ul. Unieka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 35. Telefon: sekretariat i naczelny redaktor 255-33, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencje zwykła prosimy kierować na adres: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; poleconą i ekspresową — na adres redakcji.

Zam. 4007 14.XII.1965 C-6

Kamena str. 9

Ziemia i Pieśń

Rok V

Styczeń 1969

Nr 12



Obraz Ireny Trzaskowskiej — malarki i poetki. Piszemy o niej na str. 2 „Ziemia i Pieśń”.

Andrzej Skupień-Florek

O Tatry wy moje...

O Tatry wy moje, dziwy wspaniałości,
Przeokropnej sily — scyty wysokości —
Wy groźne harnasie ze skoli wykute,
Wyście som urokiem piękności osnute.

O Tatry wy moje, granitowe turnie,
co se tu na miedzy honornie i dumnie
Jako by na warcie stolice morowe —
O Tatry wy moje, pomniki wiekowe.

O Tatry wy moje, góry ze ńlabami —
Wyście som tu lo mnie wielkimi darami.
Hej, jo wos milujem ze syćkiej miłości,
Boście tu strażnicom pradawnej Polskości.

O Tatry wy moje — symbole wierności,
Kie jo na wos patrzem to serce z radości
Moeniej w piersi mojej bije ozywione,
O Tatry wy moje, Tatry poseybione.

O Tatry wy moje, posagi kamienne,
Kieby ludzie nieli serca tak nie zmienne
Swoje charaktery i swoje przekonania —
Byliby moczarze nie do pokonania.

O Tatry wy moje, dziwy wspaniałości,
Wyście som świadectwem istnienia boskości.
Próżno sie wysilom i prózno mozołem —
Wspaniałości wasej — opisać nie zdołem.

Stołowe, pow. Nowy Targ

Wycinanki ludowe

Izabella Dubik

POCZĄTKI wycinanki sięgają daleko, a tradycje jej są odległe. W pierwotnym stadium swego rozwoju materiałem służącym do jej wykonywania była skóra. Rozwijała się więc ona początkowo jako skórzana ozdoba na skórze w formie aplikacji. Z biegiem czasu przechodzi ze skóry na tkaninę, ażeby ostatecznie przekształcić się w haft. W związku z rozwojem produkcji glansowanego, kolorowego papieru wycinanka odradza się w tym samym materiale i rozpowszechnia na całym niemal obszarze Polski. Jest więc ona wytworem ostatnich czasów i stanowi najmłodszą dziedzinę ludowej sztuki plastycznej.

Chcąc dostrzec i ocenić artystyczną wartość wycinanek i w pełni odczuć ich walory malarskie, należałoby oglądać je w środowisku ich narodzin — w izbach wiejskich. Tam, we wnętrzach kurpiowskich czy też łowickich chat, występują najwyraźniej i przemawiają najmelodyjniej na tle bielonych ścian. Tam rysują się wyszukana linia i barwną plamą, grają kolorem i formą, tworząc dekoracyjną ornamentację wokół obrazów, okiennych obramień czy też, biegnąc wzdłuż belek powały i wokół ścian, podkreślają poszczególne elementy tektoniczne bryły i zamykają ją oryginalnym, niejednokrotnie misternym pasowym fryzem.

Ozdabianie izb mieszkalnych tzw. strojami, zazwyczaj na święta, było poniekąd ambicją może nie tyle kobiet, ile raczej dziewcząt. Jak mówi wycinankarka Chelmińska-Swiątkowska w swojej książce o wycinance łowickiej „wszystkie dziewczęta starały się wycinać, aby przystroić chatkę na święta”. Zmieniało je rokrocznie, gdyż ulegały szybkiemu zniszczeniu. Toteż wycinanki — nazywane przez lud w zależności od okolicy i regionu strojami, cackami, kwiatkami, gwiazdkami, różgami, wstążkami, lelujami, tasiemkami, cyrkami czy też klapkami — po roku przenoszone były z izby do kuchni. A z kolei do obory, ponieważ — jak podaje jedna z wycinankarek, Aniela Chmielińska, w swej książce „Księżycy i ich strój” — „bydło też musi mieć ustrojone na święta”. Tak więc wycinanka upiększała wnętrza nie tylko człowiekowi, ale i zwierzętom.

Wśród wycinanek papierowych najogólniej można wyróżnić dwa zasadnicze typy: jednobarwne o walorach i wartościach czysto ornamentacyjnych, oraz wielobarwne, tj. tworzone z wielu małych, barwnych wycinków papieru, naklejanych na tle, które potęgają ich walory kolorystyczne i malarskie.

Wśród regionalnych odmian należałoby wyróżnić łowickie, kurpiowskie i lubelskie. Wybijające się kolorystyką, barwne wycinanki łowickie wywołują wrażenie malowanych obrazków. Znalazły w nich wyraz kolorystyczne zdolności łowiczank, tak wymowne w żywo i barwnie tkanych pasiakach łowickich. Znamienność i oryginalność sztuki wycinanki kurpiowskiej leży w swego rodzaju umiejętności sugerowania jak gdyby aplikacji, wykonanej kunsztownie z małych barwnych deseczek. Efekt wywołany jest grą światłocienia, który spełnia tu dominującą rolę. Motywem dekoracyjnym jest najczęściej drzewko z wyszukaną, misterną stylizacją kopyły oraz bardzo swoiście stylizowane monstrancje. Wśród nowszych elementów zdobniczych zwracają uwagę barwne kopyty i pawie. Znamionuje je szlachetny prymityw formy i poczucie barwy.

Lubelskie i podlaskie wycinanki papierowe, w większości jednobarwne, reprezentują kierunek zupełnie odmienny. Rozwinęły się one bowiem w charakterze misternych haftów i ornamentacji, skomponowanej z motywów geometryzujących. Głównym elementem ornamentacyjnym jest motyw ośrodkowy — koło, rzęta lub gwiazda wkomponowana w rozetę. I na odwrót: złożona z drobnych, niejednokrotnie koronkowych, koncentrycznych czy też strzelistych motywów ornamentacyjnych, zestawianych w najrozmaitszych wariantach. Kompozycje te wykazują jednak przemyślaną i niemal matematycznie obliczoną konstrukcję elementów rytmicznych.

Najwybitniejszym z wycinankarzy Lubelszczyzny, wykazującym najwyższą inwencję i oryginalność, był Ignacy Dobrzyński, chłop — robotnik ze wsi Justynów w pow. lubartowski, który stworzył indywidualny i odrębny typ wycinanki.

Natomiast wycinanki rawsko-opoczyńskie są niejako syntezą wpływów wycinanki jednobarwnej, motywu drzewka podwarszawskiego i dekoracyjności wielobarwnej wycinanki łowickiej. Specyficzną swą odrębność wykazują w kompozycjach pasowych, opartych o prastare i proste motywy typowe ludowe, piękne w swojej archaicznej, surowej formie, pełne powagi i sily wyrazu. Pod względem formy natomiast najtypowszą jest tu wycinanka kwadratowa z głównym motywem ornamentacyjnym na przekątniach, związanym ornamentem łączącym. Podobne kwadraty spotyka się jedynie i to dosyć rzadko w Sieradzkim i na Lubelszczyźnie.

Najwyższy i najbujniejszy rozkwit wycinankarstwa przypada na ostatnie ćwierćwiecze wieku XIX. Niestety jednak w okresie tym wycinanka ludowa nie była traktowana jako wartość artystyczna. Wprawdzie już w r. 1894 katalog Wystawy Krajowej we Lwowie krótką notatką sygnalizuje zwyczaj zdobienia izb wiejskich barwną wycinanką, która szybko rozpowszechnia się na terenach byłej Galicji wschodniej — ale notatka ta przechodzi bez echa. Oficjalnego odkrycia wycinanki i jej wprowadzenia do życia artystycznego, spowodowania do zainteresowania się nią i spularyzowania dokonało grono entuzjastów folkloru zrzeszonych w Towarzystwie Polska Sztuka Stosowana. Rozpoczęło się zbieractwo wycinanek, urządzano wystawy, zainteresowano prasę. Powstają kolekcje prywatne, które dzięki ofiarności mecenasów-kolekcjonerów stają się podstawą przyszłych zbiorów muzealnych.

Tymczasem wycinanka im goręcej była propagowana, im większy entuzjazm wzrastał dla niej w kołach inteligencji — tym bardziej zanika na wsi. Przyczyniły się do tego w dużym stopniu warunki społeczno-ekonomiczne. Wskutek rozwoju przemysłu wieś zaczyna się urbanizować. Ludność wiejska, dotychczas wytwarzająca niemal wszystko dla własnych potrzeb, coraz chętniej sięga po produkcję przemysłową, zarówno w zakresie przedmiotów użytkowych jak też artystycznych. Zarzuka dawne, piękne stroje, zmienia zdobiony sprzęt domowy na meblowanie miejskie. Miejsce wycinanek zajęły wzorzyste papiery wytłaczane maszynowo. Jedynie w konserwatywnych, starych chatach, wypełnionych starym sprzętem ludowym, wycinanka żyje stosunkowo najdłużej. Niemal jedynym odbiorcą jest dziś miasto, a wycinankarzami pozostali jedynie wybitni specjaliści.

Stanisław Jeż

Ojciec

Gdy ranne jaśnieją zorze,
to ojciec już w polu orze,
rzuca ręką ziarno
na tę ziemię czarną,
by go nie brakło w komorze.

Skowroneczek nad głową śpiewa,
pracuje ojciec dla chleba,
rolę orze, sieje,
pot się z czoła leje,
bo dzieci wychować trzeba.

Tak w pocie czoła pracował,
sześcioro dzieci wychował.
Czasy się zmieniają,
dziś ojca nie znają...
Dla kogoś ojciec pracował?

Kłosa nie szumią pod borem,
bo pole leży ugięte.
Dzieci, gdy dorosły,
to do miasta poszły...
Zapłacze ojciec wieczorem.

Do serca został dotknięty,
bo dzieci wstydzą się strzechy,
progu rodzinnego
i ojca starego...
Ojciec, to twoje pociechy...

Rzeszów

Franciszek Święcki

Człowiek i studnia

Raz do człowieka rzekła studnia:
— „Patrz jaki ze mnie masz pożytek,
Gdyby nie ja, to w skwar południa
Padliby z pragnienia twój dobytek
I twoje ciało też by schudło
Gdyby nie moje czyste źródło”.

A człowiek na to rzekł z godnością:
„Nie po to zbudowałem ciebie,
Byś się chępiła swą ważnością,
Lecz byś służyła mi w potrzebie”.

Wólka Duża
pow. Wysoka Mazowiecka

Dionizy Maliszewski

Elegia z różą

To są róże z ogrodów mojego
rozkwitły gdy noc rozdarła jak
worek wyrzuciła ze swych wnętrzy
rude szczyry trwogi wciskające się
w spokojne ludzkie sny.
To są róże rozświetlające twarze
kobiet
których białe ramiona były —
w krajobrazie zabandażowanym
dymami.

II

Ten którego buty podkute
zadudniły na naszych schodach
rozbawiony trzymał w zębach
czerwony kwiat.
— Nie pamiętam jego twarzy
ukrytej w cieniu
stalowego helma (może w ogóle
nie miał twarzy).
— — Pamiętam tylko róże
czerwony mięsą płat w żelaznym
pysku — —
— — Pamiętam tylko lufy uśmiech
drwiący.
Gdy smagani niemieckim wrzaskiem
opuszczaliśmy rodzinny dom.
W ogrodzie po kolczastych krzakach
spływały róże — krwawe lzy mojej
matki.

III

Chlorem pachniały obozowe róże
wypreżone w karnych szpalerach
pod elektryczną śmiercią zaczajoną
w drutach.
— Widziałem za zerwanie róży
odcięto człowiekowi rękę.
Jeszcze dzisiaj słyszę krzyk tej ręki
zatkniętej na wysokiej żerdzi
pośród róż
patrzących obojętnie wyciągających
ku słońcu
swoje czerwone bezmyślne pyski.

Ostrołęka

Antonina
Zachara-Wnękowa

Mój domek

Zbuduj mi w lesie jak najmniejszy
domek,
W sąsiedztwie wilżyn różowych
i czerwonych głogów,
Niech w nocy księżyc nad nim stoi,
Za dnia niech słońce leży w progu.
Niech mech okryty promieniami
Pachnie wilgocią...

A gdy chód deszczu grząski
Da się słyszeć na liściach,
Gdy się wiatr schyli nad paprocią,
Gdy trzepnie skrzydłem o gałązki...

Gdy wciąż się przelotem w polne
róże,

Otworzę drzwi nieduże,
Uchyle je niewiele,
I słuchać będę malutkich kropelek,
Co przez zapach sosnowej
i świerkowej żywicy
Wydzwaniają pieśń nieba zaiste
ogromną,
Nad opodal wyrosłym żytem
i pszenicą...

Babka

Stefan Chojnowski

Usnęła wieś

Chmury białe swych skrzydeł
położyły na śpiącą wieś
Noc wielki czarny parasol,
pogryziony przez mole
rozpostarła nad ludzkim

mrowiskiem

Lśnią przez dziurki gwiazdne ognie.
Zeskokczyły gwiazdy dla żartu
na słupy do chaty chłopca
i już zostały tu — szczęśliwe.
Wystrzelil salwą kółkowy traktor
nad grobem dnia wczorajszego.
Usnęła wieś nad zaklaną rzeką.

Sobokleszcz,
pow. Ciechanów

